

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 79.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 17 marca 1861.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM III.

## TREŚĆ NUMERU.

Od redakcyi.—Ambroży Grabowski (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Posąg Tadeusza Czackiego (z drzeworytem).—Autobiografia barona Gapińskiego (z trzema drzeworytami).—Cmętarz duszy, elegia.—Do redaktora Tygodnika Ilustrowanego.—Szlacheć Holota, obrazek obyczajowy.—Szachy. Rebus. — Postęp. — Komunikacye, przemysł i handel. — Walka po ciemnej bajce. — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia.

## OD REDAKCYI.

Szanowni prenumeratorowie z cesarstwa, listy swe odnoszące się do abonamentu Tygodnika, nieregularnego otrzymywania wysłanych numerów i t. p. jedni kładą datą podług nowego kalendarza, inni kładą podwójną, a niektórzy podług starego stylu. Z takiej niejednolitości wynika utrudnienie w załatwianiu kwestyj, rodzi się niezrozumienie żądań, i często redakcyja bez potrzeby wysyła duplikaty kompletów lub pojedynczych numerów Tygodnika.

Aby tego wszystkiego uniknąć, raczą szanowni prenumeratorowie na listach swych kłaść datę nowego stylu, której redakcyja stale się trzyma.

## Ambroży Grabowski.

Komuz z czytelników nieznane nazwisko kronikarza stolicy dawniej rzeczypolitej? Któż zwiadzający Kraków nie poznał szanownej a sędziwej postaci starożytnika, któremu żaden kamyczek, żaden szczegół dotyczący odwiecznego grodu nie jest obcy? Każdy też odbywający wędrowkę dla pokłonienia się tamczym pomnikowym świętościom, nie omija sposobności, aby zabrać znajomość i z człowiekiem, co długie swe życie strawił ślęcząc nad starymi aktami, by odgrzebać wspomnienia minionych czasów, ku większej chwale tego miasta i przeszłości całego kraju. I w tém, przyznać należy, Ambroży Grabowski odwdziaczył się wedle sił swoich ziemi, która go wykarmiła i miastu, które młodego sierotę w mury swoje przyjęło, gdzie znalazł naukę i dobre mienie. Mąż własnych usiłowań, samouczek literacki, jako autor i pisarz nie był on zaiste nigdy samotwórczym, ale wszystko co z druku wydał, dawało świadectwo zacnych uczuć, prawych dążeń i dużo przyczyniało się do rozjaśnienia szczegółów historycznych naszej przeszłości. Badacz sumienny, zbieracz skrzętny i zamięlowany, on pierwszy zajął się opisem Krakowa, wygotowawszy dzieło powtórzone w kilkakrotnych, coraz to lepszych i dokładniejszych wydaniach, które pomimo późniejszego współzawodnictwa, dotąd jest je-

dynym i najlepszym do poznania tego miasta przewodnikiem.

Jemu należy się sława, że pierwszy zwrócił uwagę na istniejące zabytki sztuk pięknych w Polsce i odkrył wielkie imiona dawnych naszych artystów, mianych od wieków za obcych, a przez niego właściwej rodzinie zwróconych, jak np. Wita Stwosza, nieśmiertelnego rzeźbiarza, o którym nikt przed nim w dziełach polskich nie wspominał.

Owocem ulubionych mu archiwalnych szperań były ogłoszone zbiory rozmaitych dokumentów, pamiętni-

a jednak niemi największą Grabowski położył zasługę, zjednał sobie imię w literaturze i szacunek u ludzi, trzymając się jedynie tej szlachetnej rady, wskazanej mu przez jednego ze znakomitych naszych pisarzy:

I niechaj każdy w swoim pracującym zakresie,  
Do wspólnego ogniska iskrę swą przyniesie.

Ubożego pochodzenia syn włościański, nie osłaniał nigdy fałszywym wstydem początków swego rodu, owszem chlubił się nim i za przykład stawiał co może usilna praca i wola niezłomna. Mieliśmy sposobność słyszenia przed laty, w poufnej pogwarce, opowiadane przez niego szczegóły własnego życia, które zapisawszy dokładnie w pamięci, możemy teraz słowami szanownego starca powtórzyć, bez obawy przesady i nadużycia jego dobrej wiary.

„Urodziłem się, mówił do nas, w miesiącu grudniu roku 1782 w miasteczku Kentach, w dawnym księstwie oświęcimskim, z ojca Jana i Teresy Grabowskich. Ojciec mój był organistą tamże, pochodząc w najprostszej linii z rodu włościańskiego, gdyż mój dziad był pocziwym i pracowitym kmieciem we wsi Głabowicach; mogę zatem powiedzieć o sobie to, co mówił wiejski szlapak w bajce Franciszka Morawskiego.

Rodu mojego nie mam za ohydę.

Nie pytam zkad przychodzę... ale dokąd idę.

„Początkowe nauki otrzymałem w szkółce normalnej miejscowej, gdzie uczono czytać, pisać, religii, rachunków i języka niemieckiego. W dzieciennym wieku odumarał nas ojciec, zostawując dziewięcioro drobnej dźwiatwy. W roku 1797 pożar całego miasteczka pograżył owdowiałą matkę w ubóstwo, co wskazało jej potrzebę rozesłania dzieci pomiędzy ludzi w służbę. W lipcu tegoż roku babka moja, do Krakowa jadąc, wzięła mnie z sobą; opuściłem dom rodzinny z ochotą, żądny nauki, a potrzebny chleba. W Krakowie krewny nasz, ksiądz Paschalis Serwan kustosz oo. bernardynów, polecił mnie do księgarni Antoniego Ignacego Grebla, gdzie znalazłem się w moim żywiole, bo lubiłem czytać. Wziąłem się zatem do czytania wszystkiego co było pod ręką, lecz mię to do niczego nie doprowadziło, w braku przewodnika, któryby mi dobrą drogę pokazał.

„Ukończywszy praktykę handlu księgarskiego, zacząłem się uczyć języka francuskiego, w czem pierwszych początków udzielał mi gratis miłej mi pamięci Walenty Szczęfajer, znany w piśmiennictwie wileńskim. Ograniczony w środkach, o ile mogłem kształciłem sam siebie, a pod takim kierunkiem daleko zajść nie mogłem; to przecież powiedzieć muszę, że nauka moja ani grosza nie ko-



AMBROŻY GRABOWSKI. (Rys. Polkowski, ryt. w drzeworytni Tyg.)

ków, dyaryuszów, listów i wszelkich szczegółów zgromadzonych razem, a wielce użytecznych do dziejów polskich lub wyłącznie Krakowa dotyczących. Wszystkie one zaprawdę, uważane jako materiały, nie miały i nie mają pretensyj ani do głębokości pomysłów, ani do twórczości, tém mniej do ozdoby stylu,

szlowała, a zwykle tani towar nie bywa wybornym.

„W domu Greblowskim pozostawałem ciągle przez lat dwadzieścia jako subiekt handlowy (po dawnemu czeladnik), następnie jako prowadzący interessa księgarni i drukarni (buchhalter), a w końcu przez lat dwa jako współnik handlowy.

W r. 1817, pragnąc aby owoc starań i prac moich w zupełności przy mnie pozostawał, opuściłem księgarnię Greblowską (Józefa Mateckiego) i założyłem tu niewielką księgarnię, którą prowadziłem przez lat dwadzieścia, aż w r. 1837 udałem się na stan spoczynku, zawsze mając na uwadze zdanie Robertsona *Vita sine literis, mortis imago est.*“

Oto są wierne daty i szczegóły życia Grabowskiego. Księgarnia jego była to szczupła izdebka przy ulicy Grodzkiej, w samym prawie rynku mieszcząca się. Główne jego bogactwo stanowiły dawne książki i broszury polskie, na których właściciel znał się doskonale. Tu schodzili się prawie wszyscy literaci krakowscy i ztąd najrzadsze tak zwane białe kruki otrzymywali ówczesni bibliomani polscy; bo Grabowski, w całym znaczeniu tego słowa, był długo jedynym uczonym antykwaryuszem nie tylko w Krakowie, ale i w całej Polsce, mającym najrozsądniejsze stosunki ze zbieraczami dawnych zabytków piśmiennych. U niego więc skupiały się tego rodzaju interesa, zwykle z obopólną korzyścią dokonywane. W ten sposób złączony przyjaźnią z uczonymi, szczególnie w Krakowie z Jerzym Samuelem Bantkiewiczem, bibliotekarzem biblioteki Jagiellońskiej i ze znakomitym wieszczem biskupem Wroniczym, czerpał od nich wiadomości i zachętę do literackiego zawodu. Z namowy pierwszego wziął się do poszukiwań archiwalnych; drugi podał mu myśl i pomoc do opisu Krakowa, do którego sam skreślił wyborne opisanie pałacu biskupów krakowskich. Raz obrawszy sobie tę drogę, nie porzucił jej nigdy, owszem zamknąwszy księgarnię, wyłącznie się temu poświęcił i chociaż przyciśniony już wiekiem, z niknącym od ciągłej i zmudnej pracy wzrokiem, nie wypuścił dotąd pióra z ręki, ogłosiwszy znaczną liczbę dziejowych pomników, czerpanych z samych tylko rękopisów, które w następnych dziełach wyszły z druku:

1) Krótkie przypowieści dawnych Polaków, czyli Apophtegmaty z rzadkich dzieł i rękopisów ojczytych zebrane. Kraków 1819 w 8ce.

2) Historyczny opis miasta Krakowa i jego okolic, z rycinami. Kraków 1822 w 8ce.

Następne wydania, znacznie pomnożone, wyszły pod zmienionym tytułem, jako to: Kraków i okolice jego, wydanie 2 r. 1830, trzecie 1836, czwarte 1844.

3) Groby królów w Krakowie w kościele katedralnym. Poprzedza kronika Ks. Krzysztofa Zelnera i inne pomniki historyczne. Kraków 1835 w 8ce.

4) Starożytności historyczne polskie, czyli pisma i pamiętniki do dziejów dawnej Polski, listy królów i znakomitych mężów 2 tomy. Kraków 1840 w 8ce.

5) Ojczyście spominki w pismach do dziejów dawnej Polski, diaryusze, relacje, pamiętniki i t. p., tudzież listy historyczne. 2 tomy. Kraków 1845.

6) Władysława IV króla polskiego i w. ks. litewskiego listy i inne pisma urzędowe do znakomitych w kraju mężów. Kraków 1845 w 8ce.

7) Dawne zabytki miasta Krakowa, przypomnienia przeszłości o niektórych starożytnych zwyczajach mieszczan krakowskich, o bramach, basztach i wszelkich tej niegdyś stolicy kraju obronach, z dodatkiem różnych do dziedziny pamiętek należących wiadomości. Kraków 1850 w 8ce.

8) Starożytnicze wiadomości o Krakowie, zbiór pism i pamiętników dotyczących się opisów i dziejowej przeszłości, oraz zwyczajów tej dawnej stolicy, z dodatkiem różnych szczegółów Polaków zając mogących. Kraków 1852 w 8ce.

9) Skarbniczka naszej archeologii, obejmująca średniowiekowe pomniki wojennego budownictwa Polaków, wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce oraz wspomnienia z naszej przeszłości, z 39 wizerunkami baszt i bram krakowskich. Lipsk 1854 w 8ce.

10) Oprócz tego ogłosił mnóstwo pojedynczych artykułów, rozrzuconych po rozmaitych czasopismach dawniejszych i nowszych, krakowskich, warszawskich i poznańskich.

## Kronika tygodniowa.

Kilkanaście lat temu dwie znakomite damy polskie, dotychczas jeszcze żyjące, znajdowały się we Włoszech.

W okolicach Rzymu mieszkała wówczas słynna ze swojej świętobliwości *saszetka*, którą lud, niewiadomo dlaczego, nie nazwiskiem ani imieniem, tylko liczbą mianował.

Nazywała się więc ona, podług owej ludowej denominacji, *trenta tre*, co po polsku znaczy trzydzieści trzy.

Wiadomo że *saszetka*, jest to rodzaj pustelnicy, zabytek jeszcze średniowiecznych czasów, który w bardzo rzadkich wyjątkach zachował się dotychczas nawet. Pustelnice te, ślubując ubóstwo i służbę Bożą, zamykają się w jakimś ustronnym miejscu, a żywią się ofiarami pobożnych, składanymi im w naturze. Dawniej kazały się one zamurowywać w jakimś odosobnionym domostwie albo zwalisku. Oddawna jednak ustał już ten zwyczaj, bo też zbrakło zupełnie prawie takich, któreby się chciały poświęcić na podobną samotność i udręczenie.

Pustelnica więc owa była jedyną na całą okolicę i słynęła ze świętobliwości swojej nie tylko w prowincji w której obrała zamieszkanie, ale we Włoszech całych. Mnóstwo osób uczęszczało do niej po rady w różnych wypadkach, po lekarstwa na różne słabości. Były nawet chwile, i to nierzadko się zdarzające, w których owa pustelnica wpadała w pewien rodzaj świętobliwej ekstazy. Wówczas nieznanym osobom, jawiącej się przed nią, wymieniała ona po imieniu i nazwisku, opisywała ich stosunki, zdawało się że znała ich życie całe i odpowiadała na ich pytania, choćby one nawet przyszłości dotyczyły.

Księżna i hrabina .....skie, zasłyszawszy o owej świętobliwej niewieście, zapragnęły ją poznać. Wybrały się więc do niej, z osobą która znała dobrze jej ustron, kilka razy już bowiem chodziła ją tam odwiedzać.

Opis szczegółowy owych odwiedzin mamy przez jedną z tych dam, która go nam kilka lat temu opowiedziała.

Przybywszy na miejsce, znalazły one pustelnicę w jednej z takich ekstaz, o których przed chwilą wspomnieliśmy. Rozpromieniony, anielski prawie wyraz twarzy *saszetki*, dziwnie silne na obu naszych damach zrobił wrażenie. Była to niewiasta stara już, ubrana czarno, z białymi jak mleko włosami, wyziewającą z pod czarnego czepca. Suknia jej z grubej wełny, opasana była sznurem, u którego wisiały paciorki i krzyże. Nędzna i uboga izba, która jej służyła za mieszkanie, odznaczała się czystością wielką. Sprzętów bardzo mało, a jedyną jej ozdobę stanowił mały ołtarzyk z obrazem Najświętszej Panny, przed którym ciągle paliła się lampa.

Przyjęła obie panie jakby dawne znajome, i przez chwilę rozmawiała z nimi o przeszłości, teraźniejszości, o ich rodzinnej ziemi i stosunkach jakie daleko poza sobą pozostawiły.

Po jej mowie, po zdaniach z jakimi się odzywała, obie podróżniczki mogły poznać, że byłoby kobieta co niegdyś w świecie znaczne musiała zajmować stanowisko. Obeznaną bowiem była z historią tak dawniejszą jak i nowocześnie, a nawet stosunki naszego kraju nie były jej wcale obce.

Była to wówczas epoka u nas różnych partyj, koterij, zawiści, niezgód.

Obie damy żaliły się przed pustelnicą na to Boże dopuszczenie, na tę ekspiacyą, która zdawała się wymierzona na nasz naród, jako odkupienie za jakieś dawne grzechy. Ale opamiętanie się i uznanie konieczności poprawy, wydawało się dalekiem jeszcze od nas, zdawało się że Bóg zapomniał o ludzi swoim i usunął od niego opiekunczą dłoń swoją.

— I długoż tak będzie? zapytała się jedna z podróżniczek, czyliż skazani jesteśmy na wieczne grzeźnienie w błędzie, czyliż ziemia nasza, sławiona niegdyś osobliwą opieką królowej niebios, nie ujrzy ponad sobą tej radośnej zorzy upamiętania i poprawy, która drogą zasługi prowadzi do podniesienia ducha narodu, do usposobienia go ku wyższemu celom i spełnienia wielkiego zadania, jakie mu Bóg naznaczył?

— Ufajcie w Panu, odpowiedziała pustelnica, on was nie opuścił, on czuwa nad wami. Nie jesteście wy ostatniemi pomiędzy wszystkimi, których żrenica Pana strzeże, a ręka jego prowadzi. Sami nie wiecie, sami nie dostrzegacie, sami nie widzicie, a już bujny plon zgody, ufności i samowiedzy rozkwitł pomiędzy wami i wkrótce piękne wyda owoce. Już żyje to pokolenie, któremu dano jest tę wielką chwilę oglądać. Wy same ukorciecie się przed Pa-

nem i podziękujcie jemu, bo dozwolonem jest wam dożyć tych błogich czasów, tak usilnie przez was pożądanym. Nadejdzie chwila, w której słowo pańskie zabrzmi we wszystkich sercach, a radośny jego odgłos na całe rozejdzie się społeczeństwo.

— Ale przez miłość żywego Boga, świętobliwa niewiasto, wskaż nam tę chwilę, odezwała się druga podróżniczka. Ufamy, wierzymy twym słowom, pragniemy im wierzyć, ale wskaż nam tę radosną epokę, niech ona świeci przed nami jak gwiazda przewodnia, jak ów promień nadziei, który Bóg czasem zsyła na wybrańców swoich, żeby ich uchronić od rozpacz, w chwili kiedy opuszczeni od ludzi i od losu, czują w sobie słabnącą wiarę, upadającą siłę, zamierającą ufność co ich dotąd podtrzymywała. Jedno słowo rzeknij, jedno słowo jeszcze, a odejdzimy od ciebie spokojnie i szczęśliwie, błogosławiąc cię za te skarby pociechy Bożej, które nam wlałaś w serce.

I obie, złożwszy ręce, w kornej postawie czekały na wyrok, który z ust proroczej niewiasty miał być wydanym.

Pustelnica długie zachowała milczenie, zdawała się zatopioną w głębokim rozmyśleniu.

Nareszcie odezwała się, a głos jej był dziwnie brzmiały i poważny, a słowo po słowie powoli z ust jej wychodziło, jak gdyby dla lepszego wrażenia się w pamięć tych co ją słuchały.

— Błędzi ten, który chce poznać drogi jakimi Opatrzność Boża kieruje nami; błędzi, jeżeli pod nazwy i cyfry, pod te drobnostkowe znaki, które ludzie oznaczyli chwilowe swoje istnienie, pragnie podciągnąć wielką nić wypadków z Bożej rozwijającą się dłoń. Nie naszym rozumem, nie naszymi wyobrażeniami mierzyć te przestanki, które oznaczyła sobie wieczność w dopełnieniu dzieła swojego. ....

Były to ostatnie wyrazy jakie podróżniczki nasze usłyszały od pustelnicy.

Gazety tutejsze, za wspólną zgodą, przestały wychodzić w niedzielę, przyrzekając ten ubytek w inny sposób wynagrodzić czytelnikom. Stało się to na skutek wniosku towarzyszy sztuki drukarskiej pracujących przy gazetach, dotychczas bowiem trudno im było wynaleźć nawet chwilę wolną dla wysłuchania mszy świętej. Subjekci handlowi także samą w tych dniach do zgromadzenia kupców warszawskich wniosli podobno prośbę. Dotychczas zamknięcie sklepu od ulicy w niedzielę i święta stanowiło tę tylko różnicę, że goście wchodziłi tylnymi drzwiami, lecz zatrudnienie subiektów w niczem się nie zmniejszało, owszem dnie świąteczne w niektórych sklepach zdawały jeszcze ruch. Owoż prośba ta wydaje nam się również słuszną, dziś bowiem sumienne dopełnianie wszelkich obowiązków, więcej niż kiedykolwiek stało się powinnością każdego członka społeczeństwa naszego, a z tych obowiązków, religijne zawsze na pierwszym kłaś winniśmy miejscu. Dodać musimy, że w tych dniach otrzymaliśmy listy od kilku officialistów kolei żelaznej, którzy nas proszą o wnioski, ażeby w dnie świąteczne i niedzielne służbę kolejową uczyniono mniej utrudzającą. Ponieważ kolej żelazna stanowi jedną z najważniejszych gałęzi obsługi publicznej, czujemy sami, że w tym względzie większa daleko zachodzi trudność, aniżeli z niewydawaniem pism w niedzielę i uwolnieniem subiektów przez pewną liczbę godzin od obowiązków sklepowych. Sądzymy jednak, że zarządzający koleją wezmą na uwagę słowa nasze i będą się starali pogodzić, jeżeli się da, potrzeby służby, z koniecznością pomodlenia się w dnie świąteczne.

Powiedzieliśmy, że ściśle dopełnianie obowiązków religijnych w której urodziliśmy się, stać u nas powinno na pierwszym miejscu i powtarzamy to raz jeszcze, a twierdzenie to nie jest wcale w sprzeczności z tą tolerancją ogólną i połączeniem, których błogie skutki już się u nas zewsząd czuć dają. Słyszeliśmy jednego z najznakomitszych naszych kapłanów, jednego z tych których życie, ofiary jakie ponieśli, cierpienia jakich doznali, są najpiękniejszym poparciem nauk które z ich ust wychodzą, — słyszeliśmy tego kapłana odzywającego się, że tolerancja taka, że takie pojednanie, uczynione są w duchu dobrze pojętej ewangelii. Słowo Zbawiciela naszego nie sprzeciwia się temu aktowi miłości, owszem potwierdza go całą siłą swoją w samej prawdzie czerpaną. Tylko subtelności teologiczne mogłyby tu stanąć na zawadzie, a te zamilknąć powinny w obec wielkiego celu, do którego to pojednanie jest pierwszym i koniecznym przygotowaniem. Zresztą tam gdzie Opatrzność sama tak jasno i widomie wykłnęła drogę, ludzie powinni tylko dążyć za jej wszechwładnym wskazaniem.

Na kapłanach naszych, zwłaszcza tych którym poruczone zostało nauczanie ludu wiejskiego, wielki i święty ciąży obecnie obowiązek. Wszakże powinności kapłana i dobrego obywatela kraju, nie mogą być

## Posąg Tadeusza Czackiego.

z sobą niezgodne, owszem za nieoddzielne od siebie uważać je należy. Niechaj żywe ich słowo, tak wielki wpływ mieć mogące, działa właśnie w tym duchu pojednania, będącym zaprawdę najpiękniejszym wyrazem nauki Chrystusa. Bóg im dał wielką władzę w rękę, otoczył ich ludem, który w swojej tradycji, w krwi swojej, w całym życiu narodowym zachował najczystsze godło ducha, najpiękniejszą spuściznę po ojcach: wiarę silną i nieskalaną, wiarę, której ani stan upodlenia w jakim ten lud dotąd zostawał, ani ciężkie nieraz próby i klęski, w niczym zgoła zachwiać nie mogły. Dzisiaj kiedy lud ten, szlachetnym a chrześcijańskim wysiłkiem starszej braci swojej, wchodzi w nową epokę życia, dzisiaj mówię rzeczą właśnie kapłanów jest wytłumaczyć mu nowe obowiązki jakie przybiera na siebie, dług jaki zaciąga, miłość i braterstwo jakimi spłacić go powinien. Wiemy dobrze iż wdzięczność jest kwiatem rzadko wyrastającym w sercu ludzkim, wiemy że jeden z najznakomitszych tegoczesnych myślicieli, zapatrząc się na życie z dość smętną chociaż często prawdziwą stroną, wyrzekł że: „tylko Bóg ma prawo być dobroczynnym, dlatego też ci którzy wdzierają się w to jego prawo, są surowo karani za to niewdzięcznością.“ Ale samaż właśnie religia i moralność konieczne z niej wyradzająca się, winny stać na straży, żeby to smutne przypuszczenie umysłu, usposobionego do patrzenia na rzeczy ze strony wyjątkowo ciemnej, nie zmieniło się w ogólną zasadę. Do kogoż więc, jeżeli nie do przedstawicieli i krzewicieli tej religii wśród nas, udać się należy o wyjaśnienie zasady chrześcijańskiej chrześcijańskiemu ludowi? Tutaj wpływ ich pożądanym jest i konieczny; niech nie ociągają się z nim, bo dobry zasiew wcześniej powinien być rzucony w grunt, żeby dojrzał na dobre. Niech pamiętają że wszelkie rozdzielenie osłabia, że sprawa to wspólna, jak wspólne i święte są cele do których wszyscy dążymy. A jeżeli się ociągają będą, jeżeli się zawahają w zbawiennym postanowieniu, to wpływ którego nie potrafią użyć w porę, może zostać narażony na szwank przez siłę okoliczności trudnych do przewidzenia, a trudniejszych jeszcze do wstrzymania.

Wybaczcie mi, że od pewnego czasu kronika moja nosi może na sobie zbyt moralistowską cechę, ale przyczyna tego leży w okolicznościach w których żyjemy, we wrażeniu jakie one sprawić muszą na każdym myślącym człowieku, w samym dniu zresztą w którym ta kronika wychodzi, w dniu rozpamiętania i skruchy. Dziś wszystko powinno przybrać nastrojoważny; dzisiaj nie czas jest walczyć pustymi frazesami o chwilowy przyklask czytelnika, żadnego przelotnej rozrywki i zapomnienia o troskach życia; dzisiaj na piszących przeważny ciąży obowiązek, obowiązek obmyślenia każdego wyrazu, z którym się odzywać mają do czytelników, i żywienia ich zdrowym duchowym pokarmem.

A piszących tych mało niestety jest obecnie, bo chwile te zaskoczyły nas nieprzygotowanych, nieuzdolnionych może do wypełnienia świętej powinności, z którą się dopiero nauczą mierzyc. Dlatego też każdy z nas wytrwać powinien na swoim stanowisku i nie opuszczać go dla żadnej nowej, choćby najwłaśniejszej rozszerzającej się przed nim drogi. W czasach, w okolicznościach w jakich żyjemy, największą może stanowi wadę tych, których ogólnie współdziałanie potrzebne jest do popchnięcia choć jednym krokiem naprzód narodowej sprawy, że pragną nieraz porzucić kółko właściwego sobie działania, kółko w którym potrafili już wyrobić sobie jakieś stanowisko, dla dogodzenia drobnym zachceniom miłości własnej, chęci wyskoczenia naprzód, zabłyśnięcia chwilowego. Nie masz tak drobnego zakresu, w którymby praca dobrze zrozumiana i użyta nie potrafiła przynieść pożądanego korzyści, którą się mierzy nie rozgłosem osiągniętych skutków, ale doniosłością ich. Pracujmy więc w tym co najlepiej umiemy, w tym co nam nakreśliło odwieczne prawo Boże, niedozwalające człowiekowi na różnych drogach szukać doskonałości i powodzenia, a praca nasza należyty przyniesie owoc. A mówię to do wszystkich, mówię i do tej młodzieży, której ducha, uczucia i zdolności mierzyć należy tym poświęceniem do jakiego okazała się zdolną, tą dojrzałością myśli której niezatarte dała dowody, mówię to i powtarzam, że najświętszym obecnie dla niej obowiązkiem, jest kształcenie się na rozsądnych i użytecznych obywateli kraju, którego ona dziś jest chlubą, a kiedyś ma być podporą.

Nowa resursa, na ogólnem posiedzeniu w bieżącym tygodniu odbytym, postanowiła odtąd nazywać się reursą obywatelską. Piękne to miano wysokie na członków tej instytucji wkłada obowiązki.

Warszawa otrzymuje nowy dar od naszego rodaka Sosnowskiego, nową — już trzecią pamiątkę, już trzecie dzieło jego dłota: posąg *Tadeusza Czackiego*.

W czasy obecne trudno o właściwszy wybór bohatera. Czacki jest dla nas symbolem nieporównanej miłości kraju, niezachwianego wytrwania, niezłomnej pracy, symbolem ciągłej dążności do światła i prawdy.

I słusznie posąg takich zasług człowieka postawiono w kościele, w którym najczęściej modli się nasza młodzież szkolna (\*). Wszakże ona wszystka gotowa pójść za Gedeonem, ale niewszystka zasiadłaby z Czackim do usilnej pracy. Teraz i tej świętej powinności przypomnienie synowie Polski mają przed sobą.

Skromnemu, szczeremu przez całe życie mężowi, artysta stawia i pomnik skromny a jasny swoim wyrazem. Na szarą, kamienną, zaledwie dwułokciową podstawie, wzniesiona jest biała, marmurowa statua Czackiego, cztery łokcie wysoka. Przedstawia go ona w ówczesowym mundurze wizytatora szkół, osłoniętego togą; prawa ręka wsparta na słupie, uwieńczonym dwiema księgami, lewa wzniesiona, obejmuje i przyciska do piersi zwój pergaminu. Jedną z tych ksiąg pod ręką Czackiego, to „potok tej ogromnej erudycji, którą nabył dla użytku ziomków“, to dzieło *O literackich i polskich prawach, ich duchu, źródłach i związku*. Drugą księgą są: *Ustawy dla szkoły krzemienieckiej*, a zwój pergaminu — to wyjednany przez niego dyplom dla tej wszechnicy. Ta szkoła, „owoc nieznanego spoczynku trudów i czuwań, którą postawił w niezmiernym znaczeniu, wziętości i zaufaniu, dla której dobra żył i życie swoje poświęcił“ — była najmiłszym jego zadaniem i najużyteczniejszym z jego wielu użytecznych czynów; to też pod ręką trzyma jej ustawę, a do serca jej dyplom przyciska.

Oskar Sosnowski był uczniem tej szkoły i, — wdzięczny jej wychowaniec, — swą pracą wzmacnia, utrwala pamięć jej założyciela.

Czacki, w posagu naszego rzeźbiarza, jakoby stał przed licznym zastępem swoich ukończonych krzemienieckich uczniów, jakoby przy uroczystym pożegnaniu się z nimi raz jeszcze wpajał w nich obowiązki człowieka, chrześcijanina, obywatela.

Mąż to postawy wzniosłej a spokojnej, poważnej a dziwnie pociągającej ku sobie. W jego wejrzeniu czysta, rozległa, głęboka mądrość. Twarz cała nieopisanego wyrazu; widzisz w niej najjaśniejszą bojownika przejętego cnotą, żyjącego dla cnoty i za nią cierpiącego po wiele razy.

Więcej powiedzieć „przez kamienne usta“ mało kiedy podał Sosnowski. Prawda, że tą razą wykuwał z kamienia uwielbianą, rodzimą naszą postać, Czackiego.

Te wysokie zalety w dziele opisanem, zaledwie dozwalały nam zwrócić uwagę na jego niedostatki.

W samym układzie statui najgłówniejszą wadą jest zbytne usiłowanie zachowania ubioru współczesnego. Czacki w mundurze, z wysokim, haftowanym kołnierzem, z obciętym stanem, z obcisłymi rękawami; Czacki z haarbeutlem, czy też z haarzopem na głowie: niemiłe to przydatki dla nas nadwislani i nieartystyczne dla wszystkich. Suchość mundurowych opięć, sztywność mundurowej spady, czuł dobrze sam autor, kiedy posąg okrył draperią togi i do jego boku przypiął miecz starożytny. Czemż tej drażliwości nie posunął dalej? Po co to anachronizmowe dopełnianie munduru?

Nie mówimy przez to, aby ubiory tegoczesne należało zastępować wyłącznie starożytnymi, lubo tyle uroczeni dla oka, tyle ponętni dla artysty; nie chcemy Thorwaldseną obnażonych Potockich i nieodznaczonych Poniatowskich, ale też z przykrością patrzymy na owe przymusowe i wymuszone stroje. Czyż Czacki chodził zawsze w mundurze? (\*\*)

Telesfor Szpadkowski.

(\*) Kościół pp. wizytów na Krakowskim-Przedmieściu, oddawna akademickim zwany.

(\*\*) Na bocznym ścianie podstawy posagu, znajduje się napis: „Dzieło i dar O. Sosnowskiego, krzemienieczanina.“ Nie dodano, co na marmurze nie potrzebowało być uwiecznionem, a co współczesnych ciekawość zaspokoić może, że kosztą sprowadzenia posagu, piedestału i t. p. podjęli krzemienieczanie znajdujący się w Warszawie i osoby związkami krwi i czci głęboką dla pamięci Czackiego połączone — za staraniem jednego z uczniów Krzemienicy i kolegi Sosnowskiego. Ile nam wiadomo, żelazna baryerka otoczy jeszcze piedestał, dla ochrony posagu od plam, które z dotykania marmuru rękami zwykle powstają. Koszt ogólny przewożu statui z Rzymu i umieszczenia jej w kościele, wynosi przeszło 640 rs.

(Przyp. Red.)

## AUTOBIOGRAFIA

BARONA TEOFIŁA DE NOWINA-DZICZEK  
GAPIŃSKIEGO.

(Dokończenie.)

V. Dokończenie edukacji w szkole wojskowej  
w Wiedniu.

Ingenium longa rubigine laesum  
Torpet.... Ovid.

Jak tylko rozeszła się wieść o tragicznym skonie Mr. Pierre de Biberon, natychmiast przybył w odwiedziny wujaszek mój, Ernest Leopold Wilhelm Karol Beiffus, Ritter v. Ulm, c. k. unterlejtant w regimencie Erzherzoga Johana, który w nagrodę 35 letniej służby został pensjonowany z rangą oberlejtanta, co naszą familią niezwykle napełniło radością. Srodze on wyrzucił mojej mamie zadawanie się z francuskim duchem, i jako jedyny środek oczyszczenia moich zasad, podał projekt oddania mi do instytutu wojskowego, czyli szkoły kadetów w Wiener Neustad pod Wiedniem. Papa na to z ochotą przysłał, ale mama stawiała wielkie trudności. Nęcił ją wprawdzie honor służenia w naszej walecznej armii, ale lękała się okrutnego rygoru karności wojskowej, a przylatując serce macierzyńskie drżało na myśl ran i kontuzji, jakie na polu bitwy otrzymuje tysiące. Lecz nauczony doświadczeniem, zakochałem się w siostrze nauczyciela wiejskiego. Nauczyciela wypędzono, szkołę zamknięto, ale mama zdecydowała się wysłać mi do Wiednia, tym bardziej, gdy wujaszek zapewnił że wojny nie będzie, a ja przy moim tytule i znaczeniu rychło mogę się dosłużyć stopnia oberszta, a może i feldmarszał-lejtanta. Wszystko poszło jak z płatka. Zaopatrzeni w pieniądze, wyruszyliśmy d. 4 czerwca 1842 r. eilwagenem do Wiednia i stanęliśmy tam 8 t. m. o godzinie 7 wieczorem.

Nie będę tu opisywał wrażenia, jakie na mnie uczyniła wspaniała stolica Austrii; wstrzymam się od wylizania rozlicznych osobliwości, o jakich wyobrażenia nie mają ci którzy nie byli w Wiedniu. Nadmienię tylko, że Prater zaspokoić może wymagania najdystygnowańszego gustu, a tam najbardziej podobał mi się ogromny Chińczyk w pośrodku karuzeli, uderzający w dwa mosiężne talerze, gdzie za 2 kr. c. m. można użyć wesołej jazdy, tudzież przesłizny *Puppen-theater* Schwiagerlinga na *Wurstelprater*; złote rybki w Szwarczenberga ogrodzie, którym się rzucają rogalki; ogromna beczka na Lerchenfeld, w której wnętrzu tańczą, a nade wszystko wielka klatka z małpami, która się znajduje w Schönbrunskim ogrodzie. Ach! żadne pióro w świecie nie jest w stanie przebiegłości i figlów dowcipnych tych małp opisać; to też tam ludzi co niedziela jak nabił, a nikt ani grosza za *entree* nie płaci, chyba że się chce napić wody, to daje grajar srebrny, a Niemkini mu za to halbę wody podaje i jeszcze kawaleczek chleba na przegryzkę dołoży.

Ponieważ do Theresianum byłem za stary, więc projekt zmieniono i za staraniem wujaszka przyjęty został do szkoły wojskowej w Wiener Neustadt. Sprawiono mi piękny mundur, miałem szablę i wyglądałem dzielnie na parady. Lecz w szkole za to szło mi bardzo oporem, bo chociaż umiałem nieco niemieckiego, ale do żadnej nauki już ze krwi nie miałem pojęcia ani ochoty i mocno mię to dziwiło, że nawet pańskiemu dziecku każą się męczyć nad książką, jakby jakiemu chłopu. albo mieszcuchowi. Inni moi koledzy, po dwóch lub trzech latach, wychodzili na feldfeblów, ba nawet na unterlejtantów do regimentów. Ja przez lat sześć, rok w rok, mimo pięknego urodzenia, przepadałem na egzaminach. Pobyt w szkole był dla mnie prawdziwą torturą, i gdyby nie guldeny, których mi mama co miesiąc 50 przysyłała, byłbym może oddawna wziął dymissyą. Chwile tylko które przesiadałem w kozie, (a było ich niemało) najmiłej upływały, bo nie potrzebowałem męczyć się nad książką, koleżkowie mi odwiedzali, piliśmy Vöslauera, zajadali Augsburgery z kartoflami, lub gorące würtle i grali w Vingt et un'a.

Nakoniec mama, której wciąż posyłałem memoranda o mojej złej sytuacji, przyjechała do Wiednia, wioząc z sobą protekcyę, rekomendacyę i inne akcesorya, stanowiące całą karyerę przyszłego Feldzeugmeistra.

Za jej błogosławionem przybyciem wszystko się zmieniło: koledzy stali się dwakroć przychylniejszymi, a profesorowie prawdziwymi ojcami; uznali że mogę z pożytkiem wstąpić do linii. Zdałem więc szczęśliwie egzamin i po sześciolatnim pobycie w szkole wojskowej, wstąpiłem w stopniu Cadetsfeldfebla do regi-

mentu infanterii barona Nugent.<sup>17</sup> Słuszna aby baron służył w regimencie barona.

Dziadzio konsyliarz, dowiedziawszy się o tym nowym splendorze naszej rodziny, z radości tknięty apopleksją umarł. *Requiescat in pace.*

## VI. Wojna i Dymissya.

Beatus ille qui procul negotiis.  
Hor.

Kiedy zostałem Kadetsfeldfeblem, żyłem jak król, bo nie tylko od mamy culag mi regularnie dochodził, ale będąc gospodarzem w kompanii, bez krzywdy podkomendnych, miałem przy manipulacji rozumnej znakomite obrywki. Więc też, za zwolnieniem rygoru szkolnego, obiegałem z kolegami wszystkie dystygowane miejsca, uwielbiały mi wszystkie bóstwa na wieczorach muzycznych u Szperla i Englendera, do ziemi kłaniali się kelnerzy Dauma i Praseh'a, znałem wszystkie bierhaury i kaffe-hauzy, począwszy od Komödien-bierhaus, do Kühfuss na Tuchlauben i od Tereski do Caffé français. Uplýwało lato w Uniwersum, karnawał w Elizyum, nauczyłem się pić piwa i wina, a zacił chórzyści z Karltheater otworzyli mi wstęp za kulisy. Uwielbiałem słizne baletniczki, ale pomimo to żadna miejsca nie utraciła, bo mama nie o moich miłostkach nie wiedziała.

Ale *fatum* straszliwe, które od śmierci zanego Francuza prześladowało mi bez miłosierdzia, nie dało i teraz długo używać tego rokosznego życia. Nadeszły nieprzewidziane burze, wybuchnęła rebellia w Italii, a nasz batalion odebrał rozkaz udać się na poskromienie insurgentów i przywrócenie porządku.

Jak gromem uderzony, zdrętwiałem. Czarna melancholia ogarnęła mój umysł, a zgubnego jej ataku nie pokonał ani stopień unterlejtanta który otrzymałem, ani rycerski dźwięk pałasza, który ostro uderzając o bruk, straszyl hołotę.

Jakieś dziwne, a trudne do opisanja drzenie ogarnęło całą moją istotę na sam ogłos wojny. Badając psychologicznie, logicznie i patologicznie mój anormalny stan, poznałem, że to było przecucie straszego nieszczęścia, na które mi moja szalona wystawiła odwaga.

Bezprzytomny przebyłem drogę do Triestu. Napróżno koledzy pokazywali mi piękności przyrodzenia, owe szczyty Alp, Murr i Murycę i wreszcie srebrny Adryatyk: nic nie widziałem, nie słyszałem. Jakaś mgła pokryła mój wzrok; wpadłem w monomanię, gdyż wciąż mi się zdawało, że stoję przed wylotem dział nieprzyjacielskiego.

Koledzy moi, zatrwożywszy się moim stanem, chcieli mię rozerwać piosenkami i wesolemi powiastkami; lecz ich wesołość odbijała się od mojego smutku, jak strzały trojańskie od tarczy Achillesa; w końcu uporczywe milczenie moje naprowadziło ich na wniosek, że jestem zakochany, pocieszała mię więc nadzieja, że huk dział wnet rozproszy sentymentalne uczucia.

Nie myśl, zacyz mój czytelniku, iżby to miała być bojaźń. Obecnie było to nikczemne uczucie dla potomka straszego *Godfryda bez tarczy*, który setkami zmiażdżał saraczeńskie głowy, obecnie dla syna męża, który w r. 1842, pomiędzy Łuckiem a Słuckiem, boleśną wytrzymał operacyę. Mężtwo rozpierało pierś moją, a że nerwy drżały, to już była familijna choroba, którą przez mamę po dziadziu konsyliarzu odziedziczyłem.

Przez jakie miasta przechodziliśmy, przez jakie przeprawialiśmy się rzeki, powiedzieć nie umiem, gdyż ciągle znajdowałem się w stanie kataleptycznym. Już nawet chciałem się meldować jako chory i powrócić do Wiednia, lecz dowiedziałem się że i tam zamieszki wybuchły. Wtedy zdawało mi się że wpadł w krater wulkanu. Wojna z przodu, wojna z tyłu, dokoła niebezpieczeństwo! dokoła przepaść! nigdzie nadziei ratunku!..

Nakoniec pewnej nocy, po kilkogodzinnym pochodzie, stanęliśmy na nocleg w wiosce Somma-Camp-

Ze świtem rozpoczął się sabbat piekielny: grzmiały działa, huczał batalionowy ogień, pękały granaty, swistały kule i kartacze. Cierpienie doszło do najwyższego stopnia, straciłem ostatek sił i nie mogąc ustać o własnej mocy, stoczyłem się w rów. Gwałtownie zimno zmusiło mię szukać schronienia pod sklepieniem mostku, który tam się na szczęście znajdował. Żołnierze moi, w zamieszaniu bitwy, sądzili że mę po-

legł. Czy mniemasz, czytelniku, że kto przebywa pod mostkiem, już zwyciężył fatę i uniknął przesładowania srogiego losu? Niestety, nie!

W kwadrans po opanowaniu tego warownego siedliska, kiedy pewność bezpieczeństwa zaczęła mię członki rozgrzewać, granat piemoncki pada do rowu i o pięć kroków odemnie rozpoczyna wir śmiertelny. Na jego widok opuszczam moje stanowisko, wybiegam na brzeg rowu, lecz wściekły granat pęka i urywa mi pięść lewą. Padam i mdleję.

Powiadają że kule szukają tchórzów na placu bitwy; przekonaj się czytelniku, że to najwierutniejsze kłamstwo.... Tu masz jawny dowód, że granaty upędzają się właśnie za najodważniejszymi, boć przecie mężtwo sam diabeł odmówić mi nie może.

Zaniesiono mię do ambulansu, później transportowano do Triestu, a nakoniec do Wiednia. Po pięcio-miesięcznych cierpieniach wyszedłem ze szpitala i oberst widząc moje kalectwo, przedstawił mię nacelnemu wodzowi; otrzymałem więc krzyż i dymissyę, z podwyższeniem stopnia. Na domiar nieszczęścia mama moja, fałszywie zawiadomiona jakoby umarł, zakończyła światobliwy żywot na ściśnięcie serca. *Requiescat in pace!*

## VII. Pojedynek.

Unus Horatius, quamvis integer, fugam simulavit.  
Aur. Vict.

Syt sławy wojennej, wróciłem na zagon rodzinny. Zamiarem moim było ożenić się z jaką magnatką, do czego moje urodzenie, talenta i wyższość, dawały mi niezaprzeczone prawo.

Papa po śmierci mamy zeska-piał skzaradnie i chciał ażeby mię trudnił gospodarstwem i ekonomował, jako przyszły sukcesor; ale zamiary moje i papy speliły na niczém.

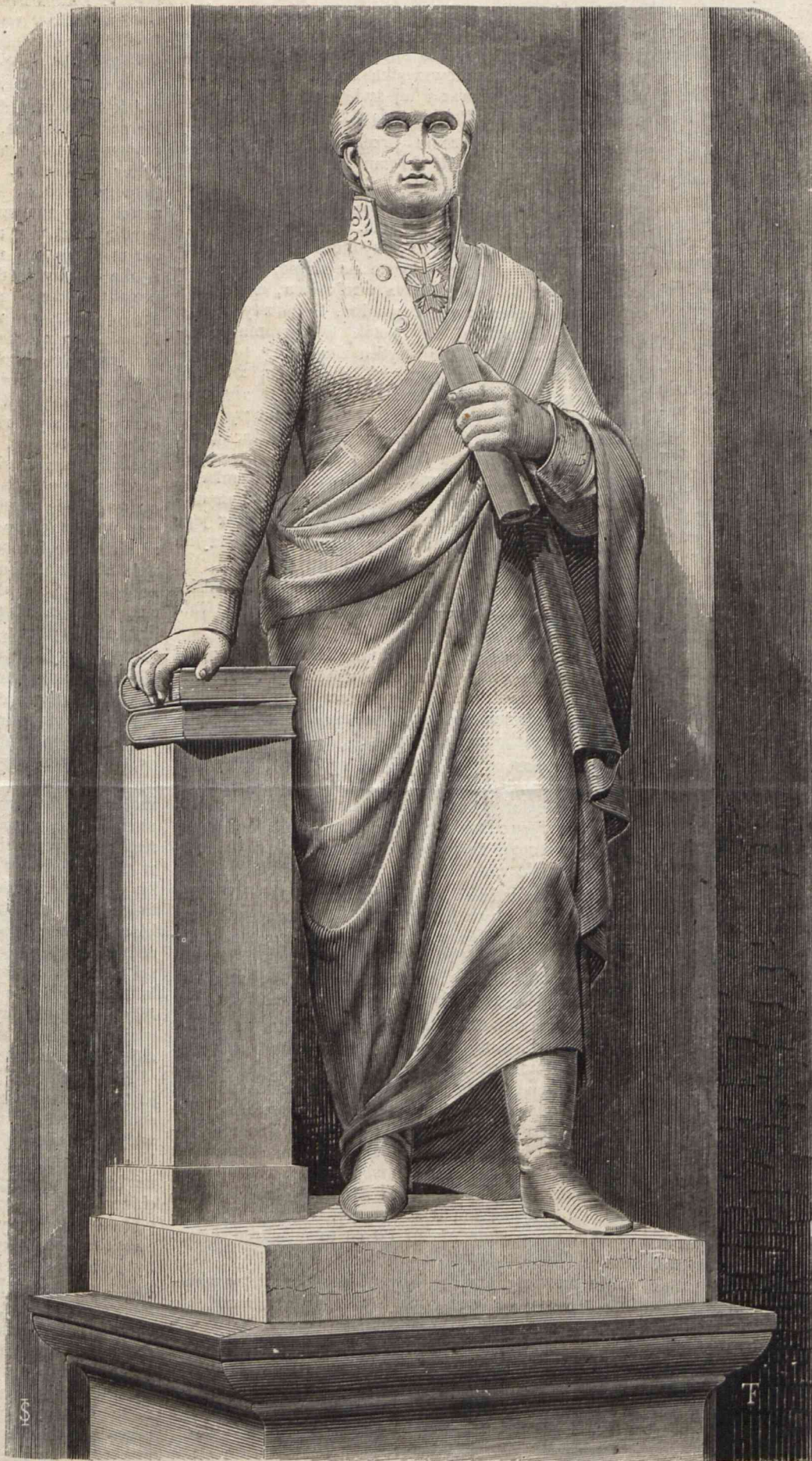
Pełne przesądów i nienawisli ku wychowancom szkół wojskowych dziedziczki bogate, odrzuciły moją rękę.

Ja, zakosztowawszy chwały wojennej, nie chciałem się trudnić tak nędznym procederem, jak gospodarstwo i rolnictwo. Jeździłem więc po miasteczkach, odszukiwałem amatorów sztuk pięknych, a sprzymierzyszy się z niemi, odnosiłem znakomite korzyści, ogrywając szlachtę w lancknechta. Oddawna gromadząca się burza, wywołana piekielną zazdrością sąsiadów, podżegana przez wyzutą ze swych wiosek szlachtę, która w okolicy rezydowała, wybuchła gwałtownie. Po śmierci mojej mamy zniknął nimbus wielkości, opromieniający koronę baro-

nowską mojego papy. Złośliwi zaczęli szarpać sławę naszego domu, nazywali zanego naczelnika naszej rodziny parweniusem, szydzili z prawnie nabytego tytułu, niekorzystnie mówili o zatrudnieniach naszych przodków, a sławną kampanią mojego papy obrzucili błotem.

Oburzony, miotalem obelgi na potwarców, i raz w zgromadzeniu, chcąc złośliwych przerazić moją wojenną sławą, niechcący napomknąłem coś o pojedynku.

Jakiś szlachetka, Orłowski, wyzwał mię na pistole-



POSAG T. CZACKIEGO W KOŚCIELE PP. WIZYTEK W WARSZAWIE.

(Rys. z natury Tegazo, ryt. Styfi w Warszawie.)

gna. Spoczywałem błogo na wiązce słomy ryżowej, marząc o Vöslauerze i sznyclach, których smaku, niestety, prawie już zapominałem.

Huk dział i okrzyk „do broni“ przerwał moje rokoszne marzenia. Za chwilę staliśmy nad brzegiem głębokiego rowu. Ciemność i chłód nocy, połączone z wrażeniem rozlegających się strzałów forpoczt, sprowadziły na mnie gwałtowny paroksyzm febrę; drżałem wewnątrz jak listek miotany wichrem jesiennym, a zęby gwałtownie uderzały o siebie.

ty. Nie mając lewej ręki, nie mogłem się strzelać..... odmówiłem. Szlachcic ostrzelał plac i ogłosił mnie za infamisa. Ja nawzajem zaskarżyłem go do General-Platz - Kommando we Lwowie, a był wtenczas Stand-recht. Poszedł więc nieborak *ad capram recte* do *Stockhauzu w Theresienstadt*, z kąd dopiero wrócił we dwa lata. Mnie włos z głowy nie spadł.

Ciekawym kto z nas lepiej wyszedł. Gdyby był żył jeszcze wujaszek oberlejtant, byłby nauczył szlachcica rozumu. Lecz właśnie odebraliśmy wiadomość z Kriegs-ministeryum, że powołany na nowo do służby, zginął przy oblężeniu Komorna. *Requiescat in pace!*

#### VIII. Żona.

Concubitu prohibere vago: dare jura maritis. Horat.

Ponieważ po owym wypadku szczęście się zupełnie odemnie odwróciło i nie miałem z kim żyć w okolicy, postanowiłem przeto opuścić nudną Galicyę i rozerwać się nieco w ukochanym Wiedniu.

Męczyłem papę o pieniądze, ale z wiekiem stał się niezmiernie skąpym i bardziej nieugiętym, jak tarca naszego protoplasty Godfryda.

Fajbus, chociaż nie był baronem, okazał więcej szlachetności serca i a conto przyszłej successyi, pożyczyl mi 40 tysięcy

guldenów, na weksel solidarny, z terminem rocznym i procentem po 4 od sta na miesiąc z góry. Tak zaopatrzony przez zacnego Izraelitę, puściłem się w podróż do stolicy *wspólnej austriackiej ojczyzny*.

Mając pieniądze, łatwo zawiązać stosunki. Porobiłem mnóstwo znajomości, zostałem członkiem Kunst- i Musikvereinu, słowem poświęcałem się sztukom pięknym, a w szczególności wspierałem talenta choreograficzne nadobnych baletniczek i szalałem za śpiewaczkami włoskiej opery.

Po trzech latach, w nagrodę mojej niezmordowanej gorliwości, przedstawiony zostałem znakomitej śpiewaczce opery włoskiej w Kärthnerthor, signoricie *Clementina Dia-Sicuramenti*.

Zrobiwszy tak zaszczytny *connaissance* telegrafowałem do Fajbusia, do mego ukochanego Fajbusia, który mi natychmiast przysłał pieniądze, lecz tłumacząc się że cudzym szafuje funduszom, znakomicie procent powiększył.

Samo z siebie wynika, że odtąd byliśmy z pocziwem moim Rotszyldem w nieprzerwanych stosunkach.

Nakoniec, gdy pomimo licznych podarków, Signora Clementina była dla mnie okrutną, nie mogąc oprzeć się szalonej miłości, oświadczyłem się pięknej Florentynce, a ona przyjęła ofiarę mojej ręki, serca i majątku.

Hotel Munscha zajaśniał tysiącem świateł, bo baron Teofil de Nowina-Dziczek Gapiński, idąc torem wielkich panów, żenił się z aktorką. Przyznam się że nie byłem bardzo zadowolony ze zmiany stanu. W trzy miesiące później odebrałem list z czarną pieczęcią, z którego dowiedziałem się, że papa mój zakończył ziemską wędrówkę. *Requiescat in pace.*

#### IX Jeszcze papa. Bona i Fajbus.

Fortuna transmutat incertos honores, Nunc mihi, nunc alius benigna. Hor.

Interesa successyi zmusiły nas do opuszczenia Wiednia i wyjazdu do dóbr. Zastałem wszystko w ogromnym nieładzie. Meble, powozy, inwentarz, krescen-

cya, wszystko było sprzedane. Jedyna nadzieja moja spoczywała w głębi ogromnej szkatuły dębowej, która, przykuta do podłogi, stała tuż obok łóża mojego życiodawcy.

Łóża nie zastałem, ale szkatuła była, a klucz od niej opieczetowany wręczył mi radzca appellacyjny *Ober-Landes-Gerichtu* ze Lwowa. Ucieszyłem się nie-

cie rzeczy, przy pospiesznej naszej procedurze, proces potrwa z pięćdziesiąt lat, a koszta przewyższą wartość kwestyonowanej summy.

Tymczasem Fajbus złożył mi wizytę i przedstawił uroczyste moje weksle na 50,000 guldenów, chociaż ani połowy tej summy nie pożyczylem. Pokazałem mu pustą skrzynię s. p. papę... Żyd się złapał za głowę i zaczął okrutnie krzyczeć.

Wymowa, groźby, a nawet mój miecz wojenny, wydobyty z pochew, nie zdołały zachwiać tej marmurowej duszy. Poznałem, niestety, że Mr. Pierre de Biberon był dzielnym fizyognomistą. Fajbus urodził się na wielkiego hetmana, śmiałością ataku daleko zostawił za sobą gwałtownego Nunziantę, a powodzeniem w każdej kampanii przewyższył s. p. Puchnera.

Ten tedy wódz znakomity w tydzień potem okazał wyrok prawomocny i chciał mię osadzić w areszcie za dług wekslowy.

Niechając uledek tej straszliwej ostateczności, postanowiłem sprzedać familijne nasze dobra *Wielka Krzyżowa*, za poradą mej żony. Fajbus wynalazł mi jakiegoś bardzo bogatego Brandeburczyka, który, lubo nader zyskownie nabył nasze dobra, wyliczył mi jednak



Granat pęka i urywa mi piętę lewą.

zmiernie, bo wedle moich przypuszczeń powinna była zawierać najmniej 400,000 guldenów. Drżąc ręką rozerwałem pieczęć, nie mogłem z wielkiego wzruszenia otworzyć zamku; ale fortuna zdradziecka jeszcze raz odwróciła się odemnie: nie znalazłem grosza gotówki, — cztery deski, i nic więcej.

Papa, nie znając dobrego tonu wielkiego świata, rozgniewał się na mnie za umieszczenie starożytnego

283,835 fl. 23 kr. c. m.

Nazajutrz wypłaciłem dług Fajbusiowi, który ujrawszy się panem tyłu na raz pieniędzy, z radości umarł. *Requiescat in pace.*

X. Lago Maggiore, febris chronica bersagliensis i zdrada pani baronowej.

Tempora si fuerint nubila, solus eris. Ovid.

Po krótkiej naradzie z moją małżonką, postanowiliśmy wyjechać do pięknej Lombardyi i tam osiąść na zawsze, zdala od niewdzięcznej i zimnej ojczyzny.

W przejeździe przez Wiedeń, umieściłem w znakomitym domu bankierskim 200,000 guldenów na procencie po 5 od sta.

Błogi pokój panował w pięknej Italii. Ze zgrozą przebywałem miejsca obfite w wspomnienia moich nieszczęść i chwały.

Na początku wiosny 1855 r. kupiłem przesliczną willę nad lazurówem zwierciadłem Lago Maggiore, a ponieważ Włochy nienawidzą synów starej Germanii i nazwa *Tedesco* ze wstrętem wymawianą bywa w całej Italii, udałem się za potomka włoskiej rodziny, od czasów Bony w naszym kraju osiadł, porzuciłem rodzinne nazwisko i przezwiałem się *Conte Gapini*.

Cztery lata rokoszne, które przeżyłem w mojej villi, należą do najmiłszych wspomnień mojego życia. Od zatoki partenopejskiej, gdzie zwykle przepędzaliśmy jesień, aż do królowej mórz, znałem wszystkie przesliczne okolice tej cudownej krainy. Nauczyłem się wybornie po włosku i przyzwyczaiłem się do tamtejszego sposobu życia. Procenta pobierałem regularnie i zdawało się że umrę pod cieniem

drzew pomarańczowych.

Jedna tylko mała chmurka zasępiała niekiedy błękit mojego żywota. Śliczna baronowa, ilekroć znajdowała się na przedstawieniu opery, dostawała napadu melancholii, z której tygodniami nie jej uleczyć nie mogło.

Atoli najpiękniejszy kwiat Wschodu, kryje niekiedy



Pokazałem mu pustą skrzynię s. p. papę.

herbu Nowina-Dziczek na deskach sceny opery włoskiej i całą gotowiznę, oraz kwoty zebrane ze sprzedaży ruchomości, ciepłą ręką darował mojej dawniej bonie, którą od śmierci mamy trzymał na łaskawym chlebie.

Zdjęty rozpaczą, chciałem zapoznać babę i poradziłem się w tym celu znakomitego jurysty, ale mi wyperswadował, twierdząc, że przy najszcześniejszym obro-

w kielichu swym jadowitego gada, którego ukąszenie śmierć przynosi.

Oddawna dręczyła mnie jakaś wewnętrzna niespokojność i moje przecucia wkrótce zmieniły się w straszliwą rzeczywistość.

Piemont był dla mnie owym węzłem, który spoczywał na dnie nadobnego kielicha ojczyzny makaronu.

Pogłoski o wojnie codziennie większej nabawiały mnie trwogi. Nie myślałem jednak, ażeby się tak rychło sprawdziły. Ale gdy pewnego dnia, napawając się przy wschodzie słońca cudnym widokiem jeziora, ujrzałem po drugiej jego stronie egzeryrkę piemonckich bersaglierów, kiedy usłyszałem bieżące po wodzie echo ich trąbek, dawna choroba moja gwałtownie wybuchnęła. Nie wiem czy wilgotna zima, czy niezdrowe wyziewy jeziora, tak mnie osłabiły, iż musiałem się położyć w łóżko.

Przywołany lekarz, kiedym mu stan mój opowiedział, pokiwał głową i oświadczył, że choroba moja, zwana *febris chronica bersagliensis*, jest bardzo niebezpieczna i radził mi ażebym natychmiast miejsce to opuścił, jeżeli chcę ocalić życie.

Wyjechałem na drugi dzień do Mediolanu; wkrótce nawinął się jakiś Anglik, wielki amator rybołówstwa, który spodziewając się sposobności użycia tej zabawy na jeziorze, z ochotą kupił mą wily dla cenę nabycia. Odebrawszy 100000 lirów w złocie, nająłem piękny apartament i przebyliśmy tydzień spokojnie.

Ale nadeszła wkrótce *owa późna* wielkanoc 1859 roku i straszliwe wypadki zagroziły mojej egzystencji. Nie chcę ich opisywać, lecz tyle tylko powiem, że kiedy baron Kellersberg wyjeżdżał bramą turyńską, wioząc ultimatum, baron Gapini wyjeżdżał bramą wenecką, uwożąc żonę.

Obie missye nie powiodły się: baron Kellersberg wyjechał trzeciego dnia z Turynu z odpowiedzią odmowną, a baronowi Gapini, na trzeci dzień po przybyciu do Wenecyi, umknęła żona, zabrawszy całą gotówkę i wszystkie precjoza.

O mało nie utraciłem zmysłów, ujrzawszy się bez grosza.

Przekonaj się, szlachetny czytelniku, że znikome są bogactwa na świecie, a tytuł nie tak godnym zazdrości, jak się to niejednemu amatorowi kwaśnych jabłek wydaje; zapłac nad losem nieszczęsnego pana, który próżno wszystkim mieszkańcom królowej Adryatyki swoje wyliczał tytuły i pokazywał dowody swojego rodu. W całej Wenecyi nikt nie chciał grosza pożyczć, nawet na baronowski patent, za który przecież papa 6000 fl. zapłacił.

Nikczemne demagogi!...

Nakoniec sprzedałem prawie całą garderobę, a nawet sygnet dyamentowy, jedyny zabytek waleczności mojego papy z r. 1812, pozbyłem się bezcen i wyjechałem do Wiednia.

Los fatalny, który trapił nasze armie od *Montebello* aż do *Solferino*, obszedł się tak ze mną, jak gdybym jeszcze do czynnej armii należał. Zaledwie poniosłem klęskę od mojej żony, a już druga straszniejsza czekała mnie w Wiedniu.

Bankier u którego lokowałem kapitał, skutkiem powszechnych katastrof finansowych, zawiesił wypłaty.

Nie mając grosza, ani nadziei odebrania kapitału, sprzedałem moje dowody należytości jakiemuś usługowemu spekulantowi, mieszkającemu na Salzgries, za 5000 fl. waluty austriackiej.

Równocześnie otrzymałem pocieszającą wiadomość, że małżonka moja, która dawała koncerta na Wschodzie z jakimś tenorem włoskim, płynąc na parowcu tureckim Siliustria, poszła z tym statkiem na dno morskie. *Requiescat in pace.*

#### XI. K. K. Tabak-Trafik.

Scilicet et tempus veniet cum finibus illis  
Agricola, incurvo, terram molitus aratro  
Exesa inveniet, scabra rubigine pila  
Grandiaque e fossis mirabitur ossa sepulcris.  
*Horat.*

Zawarto pokój w Villafranca, ale daleką była dusza moja od pokoju; w finansach moich gorsze niż w Legacych panowało zamieszanie. Gotówka z każdym dniem zmniejszała się, chociaż nie zaglądałem do *Matschakerhoff*, ani lodów nie zjadałem u *Demela*. Ubogie chwile szczęścia, bolesnym wspomnieniem szarpały pierś zbolalą. Ach prawdę *Alligheri* powiedział: „Nessun maggior dolori, che ricordarsi del tempo felice nella miseria”. Wychudłem i stałem się nędzny, jako wróbel świegotający na szczycie domostw. Trzeba było zająć się jakim procederem, lecz duma rodu była mi największą przeszkodą.

Nakoniec, jak drugi Cezar, przekroczyłem Rubikon i podałem dwie prośby, jedną do Kriegs-Ministryum o pensję zaległą inwalida, drugą do Verwalteryi o konsens na sprzedaż tytoniu i tabaki. Tu fortuna

okazała się łagodniejszą: obie, jako wysłużonemu oficerowi, z łatwością udzielono.

Dnia 1 stycznia 1860 r. wywiesiłem szyld na dystrybucyę, świeżo na *Hundsturm* założoną, z napisem:

K. K. Tabak-trafik  
von  
Gottlieb Gap.

Jeżeli cię kiedy, miły czytelniku, zawiodą losy do pięknego Wiednia, a wyczytasz ten napis i zapragniesz oglądać *Maryusza na gruzach Kartaginy*, poświęć chwil kilka biednemu baronowi. Jeżeli zaś nie zastaniesz się przy życiu i napotkasz oracza trącającego lemiem zakrzywionym o znakomite kości wielkiego człowieka, poznawszy w nich szczątek rodu *Gapińskich*, westchnij pobożnie i powiedz:

*Requiescat in pace.*

## CMĘTARZ DUSZY.

### ELEGIA.

Dusza człowieka jest wielkim światem.  
Świecą tam perły z bezdennych mórz,  
Stoją tam góry, strojne szkarłatem  
Młodzieńczych myśli, duchowych zór.

Są tam i łąki z trawą skoszoną,  
Gdzie pieśń się zdradza jak balsam ziół.  
Są tam gospody, gdzie wspomnień grono  
Obśiada biały sumienia stół.

Są obeliski wykute z czynu,  
Co straż trzymają wśród krętych dróg,  
I są tam chatki wite z wawrzynu,  
I są pałace gdzie rośnie głóg.

Są tam świątynie z miłością w dzwonie,  
Smutek i radość tam biorą ślub.  
Lecz w każdej duszy znajdziesz ustronie,  
Gdzie choćby jeden bieli się grób.

Wiedza, jak grabarz, stoi z trumienką  
U doświadczenia stalowych bram;  
Pierwsza niewinność, z lilji sukienką,  
Snem niepowrotnym zasypia tam.

Spi przerażona, spi skamieniała,  
Odkąd lzy pierwszej przyjęła chrzest.  
Na grobie napis: „Obym nie znała!”  
A w każdej duszy grób taki jest.

Tu grób z marmuru, a na marmurze  
Posąg młodzieńca; młodzian jak bóg!  
W alabastrowe zwieńczył się różę,  
I obfitości wysypał róg.

A pod posągiem, w zbrojowym chrzeście  
Cherubin, lśniący u rajszych bram,  
Skręślił: „Przechodniu! módl się za szczęście!”  
Tylko z posągu znane jest nam!

W niektórych duszach jest i grobowiec,  
Obwiedzion gestwią żelaznych krat;  
Z dziwnym go dreszczem minie wędrowiec,  
I złote próchno otrząsie z szat.

Bo tam przebita, piękna niewiasta,  
Przyjaźń zdradzona złożyła skroń.  
Na takim grobie kwiat nie wyrasta,  
Od takich grobów nas Boże broń!

A w innych duszach jest smutna łąka,  
I grób na łące przy szumie fal;  
Tam modry ogień wiecznie się błąka...  
I wiecznie łabędź wynuca żal...

O! bo tam, wierna a nieszczęśliwa  
Miłość, w koronie z kółców bez róż,  
W długiej, niebieskiej szacie spoczywa,  
Szczęsna! gdyż serca nie czuje już!

Są na cmentarzu inne dziewice  
Co jak *Aiwiarski* padają plon:  
Słoneczno-włose, jutrenno-lice;  
Takie wśród tańca porywa skon.

Są to marzenia, skrzydlate dzieci  
Ojców motylów i matek róż;  
Płaszą w duszy gdy księżyc świeci,  
Rano, pod darnią usnęły już.

O! takich grobów, rzędem, bez końca!  
Tam śpiewa słowik, wonieje bez;  
Pełno jest na nich wieńców i słońca,  
Są i westchnienia, — a niema łez.

Ale są dusze takiej żaloby,  
Żeby w nie patrząc, Bóg smutnym był;  
Tam jest grób taki, że wszystkie groby  
Przy nim się zdają drobne jak pył.

Tam przez tajemną zamkniętą siłę,  
Cały w letargu spoczywa kraj;  
Kto w duszy nosi taką mogiłę,  
Ten nosi piekło, czyszciec i raj.

*Deotyma.*

#### Do redaktora Tygodnika Ilustrowanego.

Widząc jak skrzętnie Tygodnik Ilustrowany zbiera wszelkie wiadomości ojcyste, czy to dotyczące drogich pamiątek dla serc naszych, czy szczegółów do życiorysów znakomitych obywateli i pisarzy, przesyłałam wam, szanowny redaktorze, wyjątki z otrzymanego listu od p. Modzelewskiego z *Bieniedziec*, z dnia 27 lutego r. b., w którym zajmujące podaje szczegóły o Antonim Malczeskim, autorze *Maryi*.

„Matka Malczeskiego była z domu Bleszyńska, siostra zdaje mi się generała Bleszyńskiego, adjutanta króla saskiego, księcia warszawskiego; druga jej siostra była za Antonim Młodeckim. Ojciec Antoniego był najprzód generałem w wojsku polskim, a potem w rosyjskim, ale tytularnym tylko. Generał Malczeski był bogatym; różne powody sprawiły upadek jego majątku, tak iż pozostał przy jednej tylko wiosce. Osobliwy jest szczegół jego śmierci. Zaprosił przyjaciół na obiad; kiedy przybyli, rzekł im wesoło, iż wie z pewnością że dziś umrze o godzinie z góry zapowiedzianej. Śmiano się i żartowano z przepowiedni, on jednak swoje utrzymywał i rzekł w końcu, że chce się z nimi pożegnać bez smutku. W dniu tym ubrał się w mundur generała polskiego. Po obiedzie, gdy się nikt tego nie spodziewał, położył się w swoim gabinecie na kanapie, i umarł jak sobie przepowiedział.

„Z dwóch jego synów Konstanty, b. wojskowy polski, pojechał 1816 r. do Ameryki do Boliwara, i złamał nie wrócił więcej; Antoni zaś, po ukończeniu nauk w *Krzemieńcu*, wszedł w r. 1812 do wojska polskiego. W r. 1816 otrzymał uwolnienie od służby, i odtąd podróżował. W Wenecyi poznał się z lordem *Oswaldem* i innymi Anglikami; poemat *Mazepa* *Byrona*, pochodzi ze szczegółów jakie tam nasz poeta autorowi opowiedział.

„Z lordem *Oswaldem* miał jechać w podróż na Wschód. Widziałem u Malczeskiego, gdy go poznał, wydany już paszport turecki. Po stosowne fundusze wrócił na Wołyń, lecz gdy ich od razu podnieść nie mógł, postanowił na takowe poczekać na miejscu, celem zaś uniknięcia próżniaczego życia, wziął w dzierżawę wieś w powiecie włodzimirskim, zdaje mi się że *Chrynów*. Żył zupełnie samotnie, mało gdzie bywając. Pisał wiele wtedy, jak: *Listy*, na sposób listów *Krasickiego*, poema satyryczne *Karnawał warszawski*, pięcio-aktową tragedję p. n. *Helena*, i *Marya*, poematów sławny.

„W dawnym opisie, w notatkach moich, mam Malczeskiego jakby żywcem, jakim był z powierzchowności.

„Twarzy śniadej, bez rumieńca, jak zwykle tej cery osoby, czoło niskie, włosy mocno ciemne, do góry zaczesane, krótko strzyżone; sam szczupły, chuderlawy, wzrostu mniej nieco niż miernego. Z profilu nader podobny do królowej *Wiktoryi*, gdy była panną i szczupłą. Mówiąc, miał zwyczaj stawiać bardzo blisko osoby z którą mówił. Nosił się zawsze czarno, chustkę wiązał grubo, z wypustką białą, jak to zwyczajem było wojskowych za księstwa warszawskiego. Mowa żwawa i płynna; głos nieco chropowaty. Nie nosił ani brody, ani wąsów, ani faworytów; zawsze czysto ubrany i staranny około siebie.

„Na pogrzebie było wielu oficerów od jazdy i wielu z młodzieży owoczesnej. W ścisłych żył stosunkach z p. *Karolem Kossowskim* i z kapitanem strzelców konnych *Skarszewskim*, który zginął w utarczce pod *Nurem*.

„Kasztelan *Bieńkowski*, niekiedy sam piszący więszce, przyjaciel *Molskiego* i *Malczeskiego*, przeczytałszy *Maryę*, wielce ją chwalił, tylko mu się nie podobała śmierć hana tatarskiego, której opis mienił zbyt srogim. Sąd ten wpłynął przeważnie na pokup poematu: nie zasmakowano w nim i nie kupowano.“

Przy tym liście, dołączył p. Modzelewski własnoręczny list Malczeskiego do Modzelewskiego komandora maltańskiego, który tu w całości przytaczam.

*Jaśnie wielmożny mości dobrodzieju!*

Przykro mi niezmiernie, że w pierwszym liście który piszę do j. w. p. dobrod. przymuszony jestem zajmować go moimi potrzebami, i nigdybym się nie odważył uczynić tego, gdyby takie położenie mnie tylko dotykało, i gdyby mi pismo p. Jana Modzelewskiego

## SZLACHCIE HOŁOTA.

OBRAZEK OBYCZAJOWY

Z PIERWSZEJ ÓWIARTKI WIEKU DZIEWIĘTNASTEGO.

PRZEZ

Lacha z Lachów.

„Chwytajmy a malujemy obrazy nasze, póki jeszcze są, gdy ich zabraknie, i najlepszy malarz nie odmaluje ich wiernie.“

Usque ad finem. — Żywoty narodowe.

.... Onego czasu, młodzież z okolic naszych, przeznaczona do nauk uniwersyteckich, udawała się pospolicie do Wilna. Za Wilnem więc, gdziebym od razu znalazł się w gronie znajomych, i moje serce tęskniło; ale mój ojciec inaczej rozporządził i przeznaczył dla mnie Warszawę. Toż było rozrównienie, gdy nadszedł dzień wyjazdu. Matka, chociaż mię odwoziła, zanosila się od płaczu, i zanosila się od płaczu wszystkie kobiety obecne, aż mój ojciec znecierpliwiony: „Dostyc tego, zawołał, ja was odprowadzę mil parę! Siadać!“

Wsiadliśmy.

Ruszać!

I potoczyliśmy się raźnie, wszyscy milczący, tylko koła warczały, parskaly konie, trzaskał z bata woźnica, aż gdy ostatni zagon rodzinny mignął przed oczami. Czy też wróć tu kiedy? zawołałem bezmyślnie. O Boże! Czy on wróci tu kiedy? zawołała matka, i znowu nastąpiła cisza; tylko koła warczały, parskaly konie, trzaskał z bata woźnica, i toczyliśmy się naprzód, coraz dalej a dalej.... Oh! niemyślałem wtenczas, że jadę tak daleko....

Z pierwszego popasu, ojciec wrócił do domu; ja z matką jechałymi dalej, traktem ku Lublinowi.

Lublin; położony w lekkowzgórzystej okolicy, mile przedstawia się oku... Poważne przytęm wieże licznych kościołów, pocerniałe wiekami mury, a nade wszystko przywiązane do nich wspomnienia, wprawiają podróżnego w ponure lecz rzewne zadumanie. Zauważałem, iż woźnica nasz także, iż rzekłbyś konie nawet niezwykłego zdawały się ulegać wpływowi; bo woźnica, wbrew swemu zwyczajowi, był milczący, z bata nie trzaskał i na konie nie hukał, które też, im bardziej zbliżaliśmy się ku miastu, wolniej sobie kroczyły.

Była to nad wieczorem. Słońce, jak gdyby samo utrudzone dziennym skwarem sierpniowym, zsuwało się po za wieże i mury miasta, i okrywając je krwawym światłem zachodu, dziwnego im dodawało uroku. Milczeliśmy i dumaliśmy wszyscy, z wzrokiem wlepionym w widok coraz bliżej, a jednakże coraz ciemniej rysujący się przed nami; gdy wtém, na raz, wyrwał nas z zadumania jakiś jęgomość wąsaty, lat około sześćdziesiąt, w seledynowej czworogranie na głowie, w seledynowych w palone buty szarawarach, w seledynowej z czarnymi potrzebami kapocie, której jeden rękaw miał odrzucony na wylot, bo nie było w nim ręki, kiedy druga, u której wisiała na rzemieniu pękata ze srebrną główką trzcina, ujął się zrzębu powozu, i jak z procy, takie słowa poczał nam sytać w uszy:

— A szczęście Boże! Niech będzie pochwalony! Oj! zdaleka państwo, zdaleka! Widzę to po uprząży! Może z Litwy! Może z Wołynia lub Podola! Oh! Boże! Z Ukrainy może! Jestem szlachcie Hołota, lecz nie jestem hołota! Bóg i Lublin mi świadkiem! Szlachcie z dziada pradziada! A bywało się różnie, na wozie i pod wozem. Lewa ręka została, mocium panie, na placu boju, ale serce tutaj jest w piersi! Państwo zdżożone, potrzebuje noclegu, więc mogę im nastreczyć! A godny i wygodny, chędogi i niedrogil! A co nadewszystko, jakby własny, bo katolickil! Czy mogę przysiąść na kozle?

— Proszę bardzo, rzekła moja matka.

— Niech pan siada, dodał spieszenie woźnica, usuwając się dla zrobienia miejsca; boć co prawda, to nie grzech, zawsze lepiej u swego, jak u cudzego.

— Świecie, świecie! lepiej duszy i milój czleku, potwierdził szlachcie Hołota, drapiąc się na kozioł, na który skoro się dostał, podniósł trzcinę do góry, i dziarsko nią wywinawszy w powietrzu: A teraz pospieszajmy, miły panie powoźny, zawołał, bo mroczyć się zaczyna; a już to do uczciwej gospody, zawsze lepiej wcześniej jak później. A muszę też miłe państwo z góry uprzedzić, że w tém mojem po gościnicach natręctwie nic nie mam osobistego. Gdyby kto się naprosił i rozprosił, nie przyjąłbym złamanego szeląga. Dostyc mam nagrody w sumieniu, kiedy mi się uda ocalić duszę pocziwą przed tém zdzierstwem po karczmach; pomaga się przytém swemu gospodarstwu jak można, więc z głodu umrzeć nie dadzą; a jest też i pensyjka

nie dodawało obowiązku wchodzić z j. w. p. dobrod. w takie szczegóły. Wczoraj odebrałem list od p. Jana, w którym mi każe w wszelkich wypadkach mieć śmiałość do j. w. p. dobrod., mając z swojej strony powody rachowania na jego łaskę. List ten zastał mnie właśnie w największym smutku i kłopotcie: pieniądze jakie miałem, choć przy najstosowniejszym użyciu, na konieczne jednak potrzeby osoby chorąg wyczerpały się zupełnie; fundusze jakie mam jeszcze, dopiero na kontrakty na Wołyniu odbiorę; i nie przedź je mieć będę w Warszawie, jak w marcu. Wszystkie największe starania jakie uczyniłem u moich znajomych i u bankierów, dla dostania potrzebnego zasilku, były próżnemi; zgola nic nie wyrówna mojemu cierpieniu i rozpacy, widząc się pozbawionym sposobu opatrzenia potrzeb osoby tak bardzo chorej.... (\*) Gdybyś j. w. p. dobrod. raczył pożyczyc mi 200 dukatów i te jak można najprędzej kazał mi w Warszawie wypłacić, wybawilibys z obecnej zgryzoty i postawiłbyś mnie w możności utrzymania się aż do czasu w którym odbiorę moje pieniądze. Summę tę czy na Wołyniu na kontrakty, czy w Warszawie w miesiącu marcu, stosownie do j. w. p. dobrod. woli lub komunikacji jaką masz w tej mierze z p. Janem, oddać niezawodnie się spodziewam. Jest to najszcuplejsza kwota, wyrachowana najciszej na wszystkie ekspensy, o której wykonanie nigdybym nie śmiał prosić j. w. p. dobrod., gdyby nie było najświętszą powinnością wypełnić w tém wolę brata, gdy idzie o ratunek jego siostry.

„W szczególnem i dręczącym mojem położeniu, wielkaby dla mnie była pociecha, gdybym był szczęśliwy zasłużyć sobie zawsze na j. w. p. dobrod. aprobację, a pozyskać serce jego najchłubniejszą dla niego słodyczą. Starac się o ten zaszczyt będzie ciągle celem mego postępowania. Już ja i teraz zobowiązany jestem j. w. p. dobrod. wdzięcznością za łaskawą dobroć, którąś w czasie bytności swojej w Warszawie okazywał mi raczył.

„Racj j. w. p. dobrod. przyjąć uczucia wysokiego poważania i najgłębszego uszanowania, z któremi mam honor zostawać j. w. p. dobrod.

Najniższy sługa

Antoni Malczewski.

„Jasnie wielmożnej komandorowej dobrod. łączę moje uszanowanie.

„Pani Rucińska pisała do j. w. p. dobrod. dni temu kilka, i po napisanym liście, list od brata odebrała, o tém zaś mojem piśmie do niego nie wie, gdyż wszystkie interesa usuwać od niej dla jej zdrowia koniecznie wypada.

Warszawa 5 listopada 1825. Ulica Elekoralna nr 796.

(Na kopercie adres: „Jasnie wielmożnemu imci panu Modzelewskiemu, komandorowi maltańskiemu i wielu orderów kawalerowi, j. w. panu i dobrodziejowi, przez Radom w Bieniencicach.“ Pieczętka na kopercie, przedstawia popiersie księcia Józefa Poniatowskiego, jakie po śmierci tego wojownika na różnych przedmiotach wyrabiano, a między tymi i na pieczętatkach.

Zwracam uwagę, że poeta nasz we wszystkich listach, których kilka miałem w ręku, podpisywał się zawsze Antoni Malczewski, i tak na pierwotnem wydaniu Maryi jego nazwisko wydrukowano. Mam nadesłany, wraz z poprzednimi listami, bilet wizytowy, sztychowany kiedy bawił w Paryżu, na nim czytamy: „Malczewski. Hôtel de Paris, Boulevard de la Madeleine.“

Dlaczego na tym liście podpisał się wyraźnie Antoni Malczewski, nie umiem wytłumaczyć.

P. Modzelewski, który raczył mi udzielić te pamiątki po wielkim poecie, i zarazem podał wiele szczegółów do jego życia, zaprzecza w liście swoim stosunków jakie wiązały Malczewskiego z Zofią Rucińską, i powiada między innemi, że nie był Lowelasem.

W inném miejscu, podając obszerny życiorys autora Maryi (ob *Cmentarz powązkowski pod Warszawą* T. I. str. 41) stosunek ten wyjaśniłem i sprostowałem na mocy własnoręcznego listu samėjej pani Zofii Rucińskiej; nie będę tu przeto dotykał tego przedmiotu.

P. Modzelewski pisze, że na pogrzebie Malczewskiego żadnej kobiety nie było. Była jednak na nim taż sama pani Rucińska, która mu towarzyszyła przez sześć lat nierozdzielnie. Jęj ży, może jedyne, zwilżyły mogiłę wielkiego poety. (\*\*)

R. IV. IV.

(\*) W autografie, z którego przepisuję list powyższy, w tém miejscu półtora wiersza p. Modzelewski sam wykreślił, objaśniając mnie że „co wymazane, to tylko nas dotyczy.“

(\*\*) Szanownego p. Modzelewskiego z Bieniędzic upraszam o adres pocztowy, ażebym mógł odesłać mu list oryginalny Malczewskiego, którego zwrot sobie zastrzegł.

za ten próżny rękaw. Toż póki zdrowie a nogi, biegnę, mocium panie, na gościniec jeden lub drugi, szczęśliwy, aż szalony z radości, że braciom szlachcie usługę. Ale otóż rogatka. Przystań! panie powoźny! Tak chce prawo. Nic niema, panowie rogatnicy! To podróżne państwo z daleka i w przejeździe tylko. Bóg zapłać na dobranoc! A teraz, dalej naprzód, miły panie powoźny, prosto, ostro, samym środkiem przez te budy i brudy. Karczma na karczmie, a jedna sto tysięcy razy gorsza i brudniejsza od drugiej. A w każdej obdaroby moje państwo, gdyby można, z nitki ostatniej. Zmykaj co tchu z tego piekła, panie powoźny! Tak, tak! prosto, ostro, otóż i Krakowskie przedmieście! A nieprawdaz, że tu zaraz inaczej. Teraz w lewo i zwolna, w tę tu bramę otwartą! Tpru! stać, tylko skoczę bramę przytrzymać.

I zeskoczył z kozła równiuteńko na obie nogi, jak wyrstek dwudziestoletni, i wesoło swisnął pałą w powietrzu; a po nad głową, po nad czapką seledynową, mignął próżny rękaw seledynowy, rzekłbyś chorągiewka wierna proporcowi swojemu.

Ledwie szlachcie Hołota zniknął po za bramą rozwartą, gdy wnet, jakby z pod ziemi, oskoczyło nas do okola żydostwo, wrzeszcząc w uszy ze wszęch stron:

— Anie trzeba sukna dla panicza na surdut, hal-sztuków, wszystko zaraz przyniesie!...

— Trzeba weby, płótna, perkalów; wszystko przednie, za bezcen!...

— Trzeba wstążek, tasiemek, nici, igieł, jedwabiu!...

— Trzeba cukru, kawy, herbaty, korzeniów!...

— Jasnie pani każe przynieść mydło, pomady, perfumy, szyldekretowe grzebienie!...

Wtém w roztworzu bramy błysła postać seledynowa, i równocześnie rozległ się głos grzmotliwy:

— A tuś mi już hołota! Precz hołota! Jest tu szlachcie Hołota! I jak gwiznie pałą w sam środek tłuszczy, aż moja matka z przerażenia krzyknęła i rękami oczy zakryła. Szczęściem tłum się rozsunął, jak przecięty na polu, i dalejże w nogi, w lewo i w prawo; tylko żydziak jeden, na czas nie uspieszywszy, smyk pod powóz; a straszliwe cięcie pana Hołoty, zamiast w żydziaka, padło na kure, którą żydziak był z pod powozu wypłoszył, a którą też zaraz porywając w ręce swe pan Hołota i rzucając w dziedziniec: Hej! Marynka, zawoła, dorżnąć ją tam co żywo! Państwo zgłodzone, więc posilić się zecheć! Jest kura na pieczyście, a powinna być krucha, tylko dorżnąć ją zaraz! A teraz, to już w bramę, panie powoźny. Tak, tak, do-brze, prosto, tpru, stać! W imię Ojca i Syna! I odechrnął pan Hołota mocno i długo, jak zwyczajnie po wzruszeniu i zmordowaniu wielkiem; a potem, pomagając wysiadającej matce mojej: Oto jest, rzecz, pan gospodarz Pocziwski, rzetelny i sumienny w rachunku, a to zacna jego małżonka, z domu Gościńska, rzeźka i wysłużna gospośia. Niechże teraz państwo raczą na górę, tędy, za mną, schodami, tylko proszę powoli, bo jest któryś stopień niepewny. Otóż jesteśmy. Numer trzeci, a trzy zawsze liczba błogosławiona. Bóg jest w Trójcy świętej jedyny. Chrystus Pan dnia trzeciego zmartwychwstał. *Omne trinum perfectum!* Niechże będzie pokój temu domowi! A teraz biegnę rzeczy moich państwa poznać.

Po wieczery, której istotną zaletą była krucha kura bicia pana Hołoty, matka moja udała się na spoczynek; ja zaś, ciekawością wiedziony, wyszedłem na ulicę, i tuż przy drzwiach dostrzegłem siedzącego pana Hołotę.

— A to pan jeszcze nie śpi, zawołał pan Hołota.

— Nie, odpowiedziałem, i na sen jakoś mi się nie zbiera; radbym trocha przejść się po mieście; szkoda tylko że ciemno.

— Szkoda że ciemno, tak pan mówisz, a ja mówię, wcale nie szkoda; to owszem prawdziwe szczęście, że ta moda latarek nie przywędrowała jeszcze do naszego pocziwego Lublina. Oj! wie pan Bóg co robi, i jeśli by w nocy potrzeba było światła, toby kazał słońcu świecić jak we dnie. Ja sobie myślę, że ten nawet księżyc, i te tam gwiazdy w górze, to tylko iskrzą na dowód opatrzności miłosierdzia bożego, aby, jeśli jaki podróżny w drodze się zapóźni, albo zabłąka, mógł przecie trafić do domu. Lepiejże stokroć, i tysiąckroć lepiej byłoby, żeby człek szedł po woli bożej i z nocy dnia nie robił. Łakomstwo ludzkie, to hydra, mociumpanie, nienasycona. Dajno tylko dzień w nocy, a zobaczymy czy te biędne pańszczyzniki nie będą musiały po całych nocach pracować, jak dziś po całych dniach pracują. A i te, panie miły, rozboje, rabunki i złodziejstwa nocne po drogach, czyby słyszane były, żeby człowiek spał w nocy, jako pan Bóg przykazał, nie zaś, jak on Marek po piekle, tłukł się gdzieś tam po nocach. Miły Boże! Bywało się po świecie i po tych jego sławnych a wielkich miastach. Oj! tamżeto rozpusty i zgorszenia! W dzień śpią, bo

przy świetle słonecznym wstydziłoby się broić. Ależ kiedy noc padnie, a płaszczem swych ciemności przykryje ich niećności, toż to tam dopiero Sodoma i Gomora. Wszakże, jeśli memu panu jeszcze do łóżeczka nie pilno, to możemy przejść się trochę, nie żeby co zobaczyć, broń Boże! bo jutro czas ku temu będzie, ale żeby po skwarze dziennym, użyć wieczornego chłodu. Żeby tylko pan Bóg chciał dać jutro pogodę, bo jakoś słońce zachodziło dziś krwawo.

I poszliśmy ulicą w miasto. Ja, choć pociemku, wytrzeszczałem oczy dokoła, kiedy pan Hołota nucił sobie półgłosem:

Słońce zaszło dziś krwawo,  
Pewnie jutro bój będzie,  
A więc w lewo i w prawo,  
Wódz nasz czuwa sam wszędzie.

— Stara piosenka, lecz piękna. Czy pan zna tę piosenkę? Skomponował ją pan Julian Ursyn, co był adjutantem przy panu Tadeuszu, a skomponował ją w samą wilią bitwy maciejewickiej. Słońce tego wieczora zachodziło krwawo jak dzisiaj, i też nazajutrz krwawa była rozprawa. Kochany nasz naczelnik istnie cudem został przy życiu. Zdaje mi się, że go widzę dziś jeszcze przytłoczonego zakłutym pod nim koniem. Krew z ran jego lała się strumieniami, cierpiał srodze nieborak; ale to, mocium panie, kłamstwo wie-rutne, żeby tam miał wyrzec słowa jakieś rozpaczne. Ależ oto i rynek. A czy widzisz pan tę kolumnę w cieniu? A ten kościół jeden i drugi? A te mury? A te wieże na niebie?... Pamiętaj to, pamiętki! Jutro po dniu, da Bóg doczekać, wszystko pokaże i opowiem, dziś czas wracać do domu. Biedna jęmość może się tam troszczy o synka. Nic w tém! Szlachcic Hołota prędzejby drugiej ręki się pozbył, jak żeby na zgorszenie jakie dopuścił kiedy polskiego młodzieńca. A jednak widzę jeszcze świeci się u jęmości. Dobranoc! Szczęśliwej nocy! Żeby tylko chciał dać Pan Bóg jutro pogodę!

I wdarł się pan Hołota po schodkach na poddasze, nucąc sobie półgłosem: *Słońce zaszło dziś krwawo.....*

Nie były płonne przecucia pana Hołoty. Około północy zerwał się wiatr z deszczem ulewym. Ale nad ranem wypogodziło się niebo, słońce żywo świeciło, a pan Hołota, zetknawszy się ze mną na schodach:

— Bóg łaskaw, rzecz, wiatr jakby na komendę ulice pozamiatał, deszcz przecieki wypłukał; cały Lublin czyszczeni, jakby się na wesele wystroił; a ogrody, a gaje, łąki, zboża i trawki, aż się śmieją z radości. Jeśliż wola, to pójdziemy Lublin obejrzeć. Czy zgoda?

— Zgoda z serca całego!

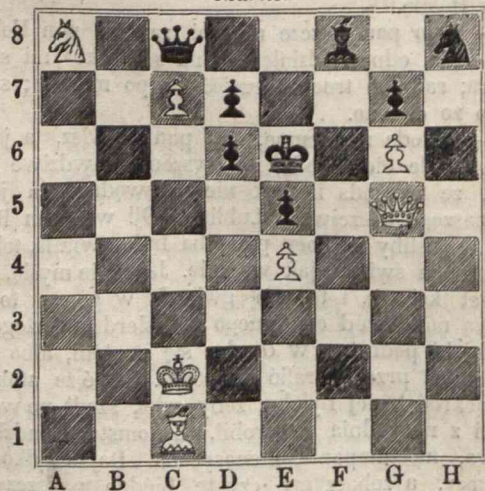
## SZACHY.

### ZADANIE LVII.

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają matę za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 56.

Białe.

Czarne.

- 1) D 2 — C 3 białą +
- 2) D 4 — D 5 białą +
- 3) F 3 — G 4 +
- 4) F 2 — F 4 +
- 5) H 6 — F 4 białą + i mat.
- 1) D 4 — E 5
- 2) E 5 — D 5 białą
- 3) D 5 — E 5
- 4) G 5 — F 4 białą

— A więc proszę, tylko muszę skoczyć po trzcinę, po starości podpórę. A może pan raczy izdebkę moję nawidzieć, boć to ona także do Lublina należy.

Pan Hołota mieszkał pod samym dachem, istotnie z jaskółkami razem, bo na zewnątrz okna jego izdebki, piętrzyło się kilkanaście gniazdek jaskółczych. Samo okno, z zewnątrz i z wewnątrz, umajone było bluszczem i powojami, oraz mnóstwem doniczek z różnym kwieciami, a przytęm okolone dziesiątkiem klatek przepelzionych wesołym ptastwem, tak że na widok tyła kwiecica i ptastwa raczejbyś wziął tę izdebkę za mieszkanie jakiegoś szesnastoletniej dziewczyny, aniżeli sześćdziesięcioletniego wojaka. Wnętrze izby było również miłe i nad wszelkie wypowiedzenie czyste. Podłoga białuteńka, potrząśnięta była siekaną jedlinką, której woń żywiczna dodawała świeżości i różności



Mariusz na gruzach Kartaginy (obacz strona 118)

powietrzu. Naprost drzwi stała komódka, białoczerwonym kilimikiem przykryta, a na niej w białoczerwonych dzbanuszkach bukiety z wonnych kwiatów, z pośrodku których, za szkłem w ramach hebanowych, biła cyfra T. K. zgrabnie z włosów uwita.

— Cyfra to, rzekł pan Hołota, widząc że się jej przypatrywał ciekawie, naszego naczelnika, z własnych jego włosów, własną moją ręką uciętych i własną moją ręką uwita. Opowiem jak się to stało, bo co prawda to nie grzech, a co nie grzech, to nie wstyd. Jużto od młodości była moja taka żyłka, cięć mocium panie czupryny. Pan naczelnik lubił długie włosy i nosił długie włosy, które sobie na tył głowy zarzucał; lecz że jednak wszelkiego nadużycia nie lubił, bo co nadto, to nie zdrowo, powiadał więc pewnego razu: A niema tu kogo, zawołał, coby mi czuprynę chciał podciąć? Bo i to trzeba wiedzieć, iż był z niego człowiek na małym przestający, i nietylko perukarza, ale kucharza przy swoim sztabie nie miał. On-ci miewał wprawdzie kucharzy, ale nie tych co w kuchni pieką kapłony. Że tą razą jednakże chciał sobie podciąć czuprynę, więc przyboczne wojaki, które mię znały z tej strony: A jest tu, jest perukarz, wyśmienity perukarz! zawołały jak jeden. Gdzie Hołota? Szukać Hołoty! Niech tu przyjdzie Hołota! A ja też na to jak na lato, zaraz czwaleć z nog obu, i już tne, mocium panie, naczelnikowi czuprynę, jak sam kazał i jak Pan Bóg przykazał; a tak gracko i chwacko, że jednego włoska nie uronił na ziemię, tylko wszystkie do kieszeni pakował. Dopieroż to było potem prozb i modleń: A daj mi! I też niejednemu i niejednej się dało, ale przecież tyle sobie zostało, że z nich oto cyfrę tę uwili.

Tak było wprost ode drzwi; a zaś na prawo, naprzeciwko okna umajonego, pod ścianą obitą skórą niedźwiedzi, stało łóżko dębowe, również skórą niedźwiedzi przykryte, a przy którym, na ziemi, leżała trzecia skóra niedźwiedzi, mniejszego nieco wymiaru.

— Te trzy skóry, rzekł znowu pan Hołota, to też miłe sercu pamiętki. Było to dnia 10go miesiąca października roku pańskiego 1791, akurat na trzy lata przed tą bitwą nieszczęsną, bo trzy, jak powiadam, to moja liczba szczęśliwa lub fatalna, ale zawsze feralna. Miałem ci jeszcze podówczas obie ręce na swoim miejscu, bo dziś jużbym się tak nie sprawił. Książę Józef, świeć Panie nad jego duszą, właśnie był z licznym poczetem panów myśliwych zjechał do puszczy białowiezkiej, w której byłem wtenczas jednym

ze strażnych; zjechał zaś był na polowanie zubrów, które bić miano na podarki, dla jakichś tam gabine-tów naturalnych, niemieckich czy francuzkich. — Mości panie Hołota! rzekł do mnie pan nadstrażny Ole-szczyc, waść dziś trzymać będziesz pocztę przy księciu jegomości. Oczywiście w koło, a do góry uszy! Owóż ledwo nas rozwiedziono i psy grać rozpoczęły, aż tu zamiast zuba, sady ogromne niedźwiedzisko wprost na księcia Józefa; a za nim tuż w te tropy, niedźwiedzica i niedźwiedziatko. Książę Józef, trzask w tę kupę z dwururki, ale chybił. Mnie się lepiej z mojej pojedynki udało, bom strzał cały, a było tam, oprócz kuli, parę siekańców, włożył jegomości pod lewą łopatkę. Ryknęło niedźwiedzisko na całą puszcę, ale się nie powaliło o ziemię. Widząc to niedźwiedzica, obces mocium panie na księcia, i już na tylne łapy się zrywa. Nie było czasu do nabicia, ani namysłu, więc ja wprost do niej z kordelasem z za pasa, i jak dźgnę moję jęmość w sam środek piersi, aż z okropnym rykiem powaliła się także. Zglupiałe niedźwiedziatko przycupło na dwóch łapkach, jakby do spowiedzi przed śmiercią; a więc czasu nie tracąc, łap panicza lewą ręką za gardło, a zaś z prawej kordelasem w serce, aż się także rozciągnęło biedactwo. Śnać że podobało się Bogu, ażeby wszystko troje, jak je tutaj pan widzisz, ku wygodzie a ozdobie na stare lata służyły.

Piękne były wszystkie trzy futra, ale już to najpiękniejsze na ścianie, w ślicznym porządku, porozwieszane różne bronie i przybory wojenne i myśliwskie.

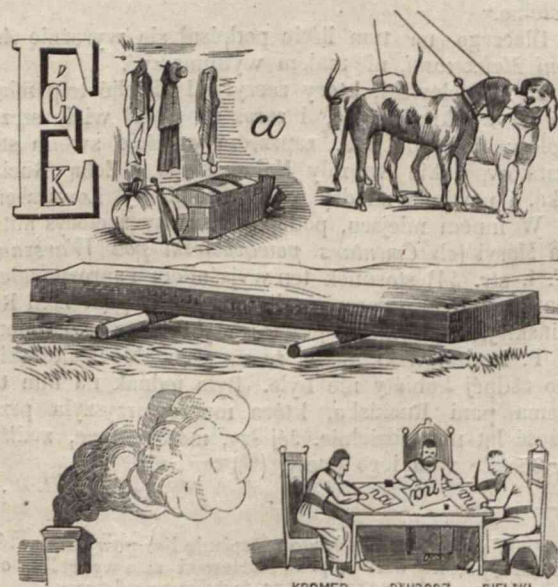
— I to także miłe sercu pamiętki, ozwał się po chwili pan Hołota. Ta tu pojedynka i ten kordelas, to one właśnie sprawce śmierci onych trojga niebożat; a zaś ta dwururka, to też sama, z której s. p. książę Józef dnia onego spudłował, a którą mi dając w podarku: „Weź ją waść, rzecz, na pamiętkę waścinego dzisiaj opiekunstwa nademną; w rękę waści dowodniejszą może będzie niż w moję; a proszę też przyjąć w dodatku te sto czontych, ku potrzebie w chorobie.“ Hojnież

to i godne było panisko; szkoda że tak wcześnie zmarniało.

Teraz, warto rzucić okiem na tę szablę w pochwie jaszczurczej. Dar to także rąk godnych, mojego chle-bodawcy i naczelnika w puszczy białowiezkiej, a dar tém szacowniejszy i pamiętniejszy, że dany w chwili kiedym z wiedzą jego puszcze opuszczał. Bóg wie, gdzie z kim wprzód wędrowała po świecie. Może była z królem Janem pod Wiedniem, bo rok na niej wcześniejszy—1682. A jakie wizerunki piękne i jak pomysłane dobrze. Z jednej strony Zbawiciel świata na krzyżu i podpis *pro Deo*, a z drugiej, godła nasze i podpis *pro patria*. A pewnie też i później pola ni zalegała, bo są na niej szczyrby i plamy, wyraź różnej daty; a i zemną, z łaski Boga, obiegła też kawałek ziemi bożej.

Prawda, miły panie, że czas ucieka, leczbym sobie humor na cały dzień zeszkaradził, żebym mu jeszcze (Obacz Dodatek.)

## REBUS.



Rozwiązanie rebusa umieszczonego w Nrze 78.

Mnóstwo ludzi gniecie ubóstwo na świecie.

(Dodatek.)

tę parki krutkostrzałów nie sprezentował. Historia ich taka. Mieszkał pod samą puszcza, na kawałku okupnym, tak się zwączy szlachcic Sierota, zawołany myśliwy, a mój wielki przyjaciel. To też jeżeli nie pan Hołota u Sieroty, to Sierota u Hołoty na gawędzie lub na polowaniu. Ludzie powiadali, żeśmy byli sobie podobni, jak dwaj bracia rodzeni, boć to pewna, że ani on po swoich ojcach nie powinien zwać się Sierotą, ani ja po moich Hołotą. Oba urodzeni na Ukrainie i o rok ledwo wiekiem pomiędzy sobą różni, tyle tylko o naszych wiedziliśmy rodzicach, że zginęli w rzezi humanickiej. On podówczas miał najwięcej pół roku, ja półtora może. Jego uniósł z rzezi jakiś miłosierny pasiecznik, i przez cały ten czas straszliwy przechowywał w ulu w pasiece, przewzawszy go Sierotą, z sieroctwa po zamordowanych rodzicach; mnie zaś śmierci wydała jakaś młynarka litośna, a iż mię była, dla niepokazania iż ratuje dziecko szlacheckie, ze wszystkich obnażyła sukienek i goluteńkiego do swego domu przyniosła, więc mnie zaraz jęj dzieci przewzwały Hołotą.

To jest wszystko, co Sierota Hołocie, a Hołota Sierocie o swoich rodzicach powiedzieć mogli. Wszakże być może, iż serca nasze więcej o tém powiedziały sobie, bo istotnie, zaraz od pierwszego spotkania się naszego, poculiśmy ku sobie taki pociąg wzajemny, żeśmy się wnet pokochali, i już ciągle kochali, jak dwaj bracia rodzeni, ba i lepiej może jak dwaj czasem bracia rodzeni, bośmy odtąd żyli jak jeden. Na wieść że się nasi gromadzą, a było to pod wiosnę 1794 r., oba razem wyciągnęliśmy z puszczy. Razem byliśmy 4go kwietnia i 6go czerwca, i razem też 10go października, który to dzień, był dla mego towarzysza na tej ziemi ostatnim, a dla mnie najboleśniejszym. Jak ta parka krótko-strzałów, ta jedyna moja po Sierocie pamiątka, mnie się z rąk kozacych dostała, długoby rozpowiadać, dość że za nią dałem połowę tych stu czontych z daru księcia Józefa, i nie żałuję tego, bo bym dzisiaj ich nie odstąpił nikomu za skarby świata całego. A nie są też, trzeba przyznać, i bez własnej wartości. Prawdziwe angielskie, londyńskie i sagalasowskie, świadkiem ten na nich srebrzem drylowany napis: „C'est bon! C'est bon! Veritable Sagalas London! Fecit Borówka in Bałabanówka.“ Ale ja się tutaj nad skarbami memi rozwodzę, a czas leci.

— Jeszcze chwilę, jeżeli łaska, rzekłem. A toż srebrne serce i ten, w okół niego, wieniec z nieśmiertelników?...

— Oho! Widzisz, widzisz młodego! rzekł pan Hołota z wyraźnym zadowoleniem z tej mojej ciekawości. — Dobrze! dobrze! Znać masz serce, kiedy się uderzyło serce. I to także nie lada pamiątka, bo we wnętrzu tego srebrnego serca, (a to mówiąc, wziął je pan Hołota ze ściany i rozwinął) złożony jest wianuszek z niezapominajek, własną jęj ręką uszczknionych, jęj rękami uwitych, włosami jęj przepieczonych i łzami jęj zroszonych. Umarła z żalu nieboga, na wieść że zginął w boju. Wieść była fałszywa, lecz jęj miłość prawdziwa. To też wszystko-widzącemu Bogu wiadomo, że to była moja miłość jedyna, najpiękniejsza i ostatnia. I westchnął pan Hołota głęboko, i leż kilka po licu jego spłynęło, z których jedna padła na wianuszek w serce rozwarte, a które też pan Hołota, przymykając skwapliwie, wraz z łzą swoją, na zwykłym jęj miejscu, obok krótko-strzałów zawiesił.

— A teraz, to już dosyć tej gawędy naprawdę! zawołał pan Hołota. I dalej trzcinę do ręki, czworogranek na głowę, i zeszliśmy szybko po schodach, na ulicę.

Jestto rzecz powszechnie wiadoma, że przy świetle przymionem, o mroku albo w nocy oglądane przedmioty, wydają się większe, podnioslejsze i rozleglejsze, bo czego w nich za mało lub niema, to wyobraźnia sama dodaje, albo tworzy, według upodobania.

— Lublin, rzekłem, zdawał mi się większym po nocy.

— A był-ci on jeszcze większy; ozwie się pan Hołota, za tej swojej nocy, co ją zowią przeszłością; musiał nawet niegdyś być bardzo wielki, kiedy taki akt wielki, jakim było połączenie Polski i Litwy, w nim się odbył; i musiały być te dwa narody wielkie, kiedy na czyn taki się zdobyć i przeprowadzić go mogli. Inne ludy, acz jednego nieraz plemienia, szarpia się, krają, ćwiartują, a tutaj dwa narody całkiem od siebie pochodzeniem, mową, wiarą i obyczajami różne, zlewają się w jedno państwo jednolite i jednomysłne, węzłem wolności i braterstwa związane. Niemcy, dumne Niemcy, za mędrzych mają się od nas, odpusć im grzech ten Panie, a do dziś dnia podzieleni na jakieś tam Halty-Anhalty, Burgi, Limburgi, Lichtenstajny i Szajny; a co wszystko razem zbite, niewarte polskiego szlacheckiego zascianka. A u nas? U nas,

(Dodatek do Nr 79 Tyg. Ilustr.)

jużto blisko temu lat pięćset, boć to było pierwszy raz 1386 r., kiedy Litwin-poganin, co się zwał Jagiełło, żenił się z Polką-chrześcianką Jadwigą, nastaje połączenie dwóch oddzielnych narodów, które potem potwierdzone i dopełnione 1569 r. tu na sejmie walecznym w Lublinie, przedstawia widok, który wszystkie owocne podziwiał narody, lecz którego żaden z nich ani podjąć, ani pojąć niezdolny. Właśnie oto wchodzimy na ten plac wiekopomny, który dotąd jeszcze zwie się litewskim. W miejscu gdzie ta czarna, od starości omszała i porysowana wznosi się kolumna, stał tron wspaniały, a na nim, pod otwartym niebem, w obec Boga i niepoliczonych ludu, siedział w polskiej i litewskiej koronie król Zygmunt August Jagiełłończyk, a obok niego, w rzędy za rzędami, po prawicy i po lewicy, świetne stany dwojga połączonych narodów: kanclerzowie, marszałkowie, wojewodowie, kasztelanowie, hetmanowie, biskupi, a po za nimi, dokoła nieprzeliczone tłumy ludu, wszelkiego stanu i wieku, rodu, wyznania i płci. Król Zygmunt z całej piersi ogłosił, stojąc u tronu, połączenie dwojga narodów, i wnet rozpoczęły się salwy, bicia strzelb, dział, kotłów, dzwonów i tak wielkie okrzyki radością uniesionego ludu, że król Zygmunt od wzruszenia i rozrzwinięcia zapłakał, a z nim wszystkie stany obu połączonych narodów od wzruszenia i rozrzwinięcia płakały także.

Teraz dopiero rozpoczęły się poszanowania i hołdy od rozmaitych cudzoziemskich dworów, od papieża, cesarzów, królów, książąt, hrabiów, margrabiów, żeby ich nie zliczyć.

Gdy się to wszystko wspaniale i okazale skończyło, powstał król Zygmunt z tronu, i wśród na nowo podniesionych aż do nieba okrzyków, oraz bicia strzelb, dział, kotłów, brzmienia dzwonów i muzyk, szedł poważnie i uroczysto do świątyni pańskiej, do tej oto tam czernej fary, a za nim wszystka starszyna, świecka i duchowna, obu połączonych narodów, oraz posłowie cudzoziemscy, na dziękczynne *Te Deum!*

Wieczorem, przy kagańcach i pochodniach rzesistych, był stół królewski otwarty, i prawdziwie królewski i otwarty, bo z obecnością króla i pod niebem otwartym, dla wszystkich gości dostojnych, zagranicznych i swoich. Hec, baletów, komedjów, fajerwerków i żadnych tym podobnych figlów nie było; bo Polacy czasu onego, goniąc tylko na ostre, nie byli nauczyli się jeszcze ani tych na tępe gonitw niemieckich, ani walki byków od Hiszpańczyków, ani walców i kasperlad od Prusaków, i Austriaków, ani kart ni pijatyk od Sasów; tylko król Polski i Litwy, wszech w obec i każdego z swych gości, prosił do Knyszyna na polowanie; a nie na kuropatwy ni też zajace, lecz na zubry, łosie, niedźwiedzie, wilki, dziki i rysie; a które to polowanie, królewskim kosztem podejmowane, trwało całe cztery tygodnie. Bo też przystojna to i godna rycerskiego ludu była zabawa. Dzisiaj już niewszystkich jedno są o tém zdania. Właśnie pomnę, będzie temu miesiąc, wszczęła się przy gościnym stole naszym rozprawa o polowaniu.

— A to tylko zdrowia ruina, rzekł ktoś, krztusząc się cały od kaszlu.

— A ja wręcz mówię przeciwnie, odrzekł głos silny i zdrowy, bom tu żywem na to świadectwem, że jużby dawno nie na jednym z ichmościów w grobie polowało robactwo, gdybym go gwałtem nie wyciągnął czasem na polowanie.

— To ruina kieszeni.

— Ba i bardzo. A pan Strzelecki z Zalesia wybudował sobie aż dwa folwarki, Zwierzęcinę i Skóręciny, za zwierzynę i skórki, dostawiane przez lat parę traktiernikom i kuśnierzem warszawskim.

— To obraza przykazania bożego: nie zabijaj!

— Więc pan może chciałbyś nam wytłumaczyć, że pan Kartowicz bliźniego nie zabija, gdy go jednego wieczora obedrze w karty z całego majątku; a zaś znówu pan Burda, to ten już pewnie żyje według piętego przykazania bożego, przeto że nie drapieżne wilki i szkodliwe lisy, ale niewinnych i spokojnych braci w pojedynkach zabija.

— Ależ te, na konto łowów, ze szkodą drogiego zdrowia, wysuszane manierki?

— Manierka nie antałek, mości panie Baryła. Mniej podobno pan Niedźwiedzi wysuszył manierek, tłukąc po lasach przez lat pięćdziesiąt niedźwiedzie, aniżeli pan Baryła antałków w jednym roku, chrapiąc przy kominku z panem Bibułą.

— Ależ żona w domu z nudów umierająca, gdy mąż goni zwierza po lesie?

— Lepiej trzykroć pani Lasowskiej, której mąż po dniach całych goni zwierza po lesie, ale na noc wraca do domu, aniżeli, z przeproszeniem, pani Kwękałskiej, której mąż kwęka we dnie nad głową, a po nocach ugania się za cudzemi żonkami.

— Ależ dzieci?

— Ależ gęsi, a kury! dadaj panie Kokosznicki, dla dopełnienia sensu. Otóż dzieci, póki ich w domu, to rzecz jęjmość pani matki kłopotić się a biedolić z niemi. A gdy pójdą do szkoły, to rzecz znówu ichmość panów bakałarzy, dyrektorów i kalafaktorów; a zaś ojciec jegomość, to dość będzie miał też za swoje, gdy synom wasy puszczać się poczną, a on czuwać będzie musiał nad niemi, żeby nosa im nie zabrakło.

Dziś już niewiem, rzekł, wypocząwszy przez chwilę, zmęczony tęp długi opowiadaniem pan Hołota, ile tam w tej treści było jeszcze zdań innych, ale to zapamiętałem doskonale, że tych wszystkich przeciwników myślistwa, gracko zbił z pantafyku, pan Łukasz Gołębiowski, który w onym czasie był właśnie wiele pięknych rzeczy o naszych zwyczajach pisał.

Ale czas, krzyknął pan Hołota, gniotąc seledynową czworogranek na głowie, jak gdyby był niekontent, że się przydługu o polowaniu rozgadał, abyśmy już poszli na ratusz, gdzie król Zygmunt sądy trybunalskie otworzył, skoro z polowania powrócił. I weszliśmy na ratusz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## POSTĘP.

Żyjemy w epoce wielkich przewrotów świata materialnego i umysłowego. Odkrycia i wynalazki jedne po drugich szybko następują po sobie; przestarzałe opinie i zasady, po bezużytecznym szamotaniu się z świeżemi, jakkolwiek już dojrzałymi pojęciami, dzień po dzień konają, i większa część Europy, dotąd niby we śnie zmorą dręczona, ocuła się, przeciera oczy, i czując załatującą woń świeżego powietrza, powoli, jakby z niedowierzaniem, pełniejszą piersią oddychać zaczyna.

Ten ruch żywotny, jakiś wewnętrzny niepokój, ta siła pchająca ludzką „naprzód“, jednym słowem to ciekawe i niepojęte dla wielu zjawisko, jakże się nazywa? „Postęp“. Aha! postęp! Więc kto żyw, kogo tylko Bóg obdarzył mową, ośmiela się, w obec dobrze znanych sobie, używać wyrazu „postęp“; mniej odważni do ucha nawzajem sobie to powiadają.

I gdy tak wszyscy mówią a mówią, jakże się tu nie cieszyć?! Z narodami rzecz się ma jak z ludźmi: jedne uczą się mówić, drugie już mówią, a inne, obeznawszy się jak należy z metodą, działają. My — już mówimy!!! I niech się to komu nie zdaje zbyt małą rzeczą; boć wszystkim wiadomo jak to trudno mówić doskonale n. p. po francuzku, albo po angielsku, — a cóż dopiero po ludzku... czyli... według zdrowego pojęcia o rzeczy.

Otóż pewnego razu, w pewnym towarzystwie, kiedy w rozmowie z kolei wypadków wypadł i „Postęp“, pan Artur, młody człowiek, który, jak sam utrzymywał, kompletnie był obeznany z historią, filozofią i innemi przyrodzonemi naukami, zabrał głos uroczysto i rzekł:

— Postęp z natury swojej, jak to sama nazwa jego wskazuje, podobny jest do koła, którego sprychy (co dawno już zauważył nieszczęśliwy Krezus), raz się podnoszą do góry, to znów opadają na dół. Owóż tedy możem sobie wyobrazić na tych sprychach umieszczoną ludzką całą, która kręcąc się bezustannie w kole, raz chępi się że idzie w górę, to znów się krytykuje że opada. Z tych pochwał i napomnień układa sobie historyzofia, a tymczasem postęp-koło toczy się po swojej kolei. Czyż nie tak? Cały układ wszechświata ma postać kulistą; a więc i strona jego niematerialna jest takież natury. Myśli, uczucia i wszystko życie kołem się toczą; ale jakież ztąd wniosek? Toczy się i postępują, dlaczego? Bo postępować muszą. A w jakim celu? Aby postępować. Niech mię szatany uściskają, jeżeli który z filozofów lepiej rozwiąże tę zagadkę.

— O! za pozwoleniem! odezwie się pan Zygmunt, o kilka lat młodszy od poprzedniego. Na rozwiązanie tej zagadki nie trzeba być ani filozofem, ani posiadającym zdolność układania dowcipnych teoryj; dosyć jest mieć w głowie prosty rozsadek, a w sercu niesplowiałą miłość. Jedno i drugie powiada nam, że postęp mieści w sobie za cel i przyczynę razem: *zdobycie wiedzy*.

Pan Artur uśmiechnął się pogardliwie, a pan Alfons, który świeżutko przybył z kursów kolegium francuzkiego, pospieszył z wyręczeniem go:

— Przypuśćmy, że taki jest cel postępu; ale racz mię pan objaśnić, jaki cel może być wiedzy? Bo przyznam się panu, że jeśli ludzkość ma przez cały swój żywot oblewać się krwią i łzami, staczać z duchem

i materyą wieczne boje dlatego, tylko, aby zdobyć, jeśli to jest rzeczą możliwą, wiedzę—to, na honor, daleko lepiej wysła, gdyby się zdecydowała pozostać, że się tak wyrażę, *głupia*.

— Dziwię się mocno, odparł pan Zygmunt, nieco z uniesieniem, że panu nie jest wiadomym, iż celem wiedzy jest szczęście, szczęście w najrozleglejszym znaczeniu tego wyrazu, szczęście o jakim tylko ludzkość zamarzyła zdola, szczęście, w które wierzyć i codziennie modlić się o nie Chrystus nam zalecił, mówiąc: „przyjdź królestwo Twoje.“ A przecież dla takiego celu warto się trochę i potrudzić, a nawet chociażby kilka łez lub trochę krwi na ołtarzu ludzkości wylać.

— Ja zaś zupełnie się panu nie dziwię, rzekł urażony pan Alfons; albowiem cała jego gorąca wiara w urzeczywistnienie prawdy i szczęścia, wynika jedynie z niedokładności pojęć o jednym i drugim. Ślicznie to powiedział wieszcz Albionu, nieśmiertelny lord, że „poznanie nie sprawia szczęścia, że ludzka wiedza zamiana tylko jest niewiadomości, na niewiadomość innego rodzaju.“ I w istocie, jeżeli panu znana jest historia filozofii, spostrzeżesz tam nader interesujący fenomen. Plato i Arystoteles, oto świeczniki ludzkości! Aż tu jaki tam Dekart albo Leibnitz jednym „ja“ gasi owe pochodnie; i kiedy świat mądry zaczyna się uśmiechać z zadowolenia, iż schwytał berło prawdy, napada nań szturmem pierwszy lepszy Szelling, z całą zgryzą Fichtów i Straussów, porywa owo berło... ale chyba dlatego tylko, aby mu znów je wydarł, dajmy, potężny Hegel. Hegel woła świat, co za inteligencja! przejrzał do dna wszystkie tajniki wiedzy ludzkiej, stanął u szczytu dotąd niedostępnej prawdy! Tak pan sądzisz? Posłuchaj Niemców, jak już sekretnie, a nawet półgłosem, zaczynają przebąkać, że prawda wymknęła się z objęć Heglowskich; i tylko w tym cały kłopot, komu powierzyć jej schwytanie. O! masz pan „postęp!“ W dziedzinie sztuk, umiejętności, wynalazków, w samych dziejach rodu ludzkiego, takiuteńka słowo w słowo powtarza się historia.

Pan Zygmunt. To właśnie dowodzi postępu.

Pan Artur (z tryumfującym uśmiechem). Czyli kółka wiecznie się kręcące.

Pan Alfons (zwracając się do pana Zygmunta). Na to w zupełności się zgadzam; ale do upartego obstawać będę przy swoim, że postęp nie może mieć celu oznaczonego, zakreślonego. Zgodzisz się pan ze mną że postęp, jeśli ma być postępowaniem, powinien nim być ciągle; nadto, że tenże wynika z właściwości ducha ludzkiego, który będąc natury niezmiennie ruchliwej, w spoczynku ostać się nie może; a ponieważ pan chcesz, aby postęp miał za cel swój dopięcie wiedzy, a ztąd szczęścia, zatem po dojściu do owego celu: 1) postęp przestaje być postępowaniem, jako nadal wcale nieużyteczne narzędzie; 2) duch ludzki skazuje się na wieczny odpoczynek, bowiem jego działalność, czyli postęp, już się zużył w sobie.

Pan Zygmunt (nieco zakłopotany). A więc cóż pan rozumiesz przez wiedzę i postęp...?

Pan Alfons. Wiedza, czyli prawda w najobszerniejszym jej pojęciu, jest to owa linia matematyczna, której początku i końca daremnie ludzkość usiłuje dojrzeć. Wolno jej tylko z tego lub owego punktu na ową linię wziętego czynić pewne doświadczenia i pomiary, i to właśnie nazywa się postępowaniem; ale chcieć poznać ją w całej długości, to rzecz śmieszna i dziecinnie zuchwała.

Pan Zygmunt. Jakto? A więc człowiek, obdarzony największą siłą istniejącego w świecie rozumu, ma uznać w sobie: że całkowite poznanie najwyższej, rzeczywistej, bezwzględnej prawdy, jaka się tylko może zmieścić w jego pojęciu, jest sennym marzeniem, utopią? A więc Bóg, najwyższa mądrość i dobroć, wszechpił w serce człowieka nieukończoną zadę poznania prawdy po to jedynie, aby ta mu sprawiała wieczne męki Tantala? O! to być nie może! To rozpacz bez ratunku!... Wierzcie mi panowie, że gdyby ludzkość była, tak jak wy, pozbawioną wiary i nadziei w urzeczywistnienie tego, do czego całymi siłami dąży, to jużby żyć nie warto na świecie.

Pan Artur. To też historia wspomina o niektórych indywidualach, co nie mogąc tutaj rozwiązać kwestyi absolutnej prawdy, dobrowolnie przeniosły się na elizejskie pola, w celu robienia na większą skalę poszukiwań.

Pan Alfons. A zresztą, po cóż rozpacz? Nic niema mądrszego, jak to zdanie, nie pamiętam już którego ze starożytnych filozofów, iż „rozum na to jest dany człowiekowi, aby się przekonał i poznał, że jest (za pozwoleniem) głupi.“

Pan Zygmunt. Moi panowie! Skoro tak silnie popieracie swoje przekonania obcymi zdaniem, pozwólcie niech i ja przytoczę na poparcie swego, zdanie

zgasłego niedawno Aleks. Humboldta, jednego, jak wiecie, z największych badaczy przyrody, który się w nią przez całe życie władzami duszy i ciała wpastrywał, i który nie jako biegły teoretyk, albo zręczny syllogizmów układacz, ale jako ścisły i sumienny empiryk wyrzekł:

„Idea ciągle przyświecająca dziejom ludzkości, rozszerzającą codziennie swoje zbawienne panowanie; idea która dobitniej niż każda inna dowodzi faktu nieraz zaprzeczanego, a najczęściej źle zrozumianego, faktu powszechnego doskonalenia się rodu ludzkiego, jest idea postępu człowieczeństwa. Usiłuje ona skruszyć zapory, jakie przesady i widoki osobiste różnego rodzaju kładą między ludźmi, i objąć ludzkość w jej całości, bez względu na religię, narody i cerę zewnętrzną, jako jedno ciało, dążące do jednego i tego samego celu, to jest do wolnego rozwijania i doskonalenia sił moralnych. Ten jest cel ostateczny, cel najwyższy społeczeństwa, a razem dążność wskazana człowiekowi jego własną przyrodą, do coraz większego rozszerzenia swego jestestwa.“

— Ta wiara, to przekonanie, mówił dalej pan Zygmunt, że moje życie, cały pochod ludzkości, mój swój cel wzniosły i piękny, którym jest postępowy rozwój sił moralnych i fizycznych, dla ostatecznego udoskonalenia się, a w czem się samo z siebie zawarowywa wiedza i szczęście,—sprawia we mnie ten rozumiały i zadowalniający pogląd na życie człowieka, to spokojne poddanie się w godzinach smutku i niedoli, oraz tę żywą wdzięczność dla wszechwładnej natury, że mi pozwoliła przyłożyć się, choć drobną cegiełką, do budowy wspaniałej świątyni, jaką w przyszłości ludzkość ma zamieszkać! A po dokonaniu budowy owej świątyni wiedzy i szczęścia, nie troszczcie się moi panowie, czem się człowiek zajmować będzie, czego duch jego zażąda i jakie wówczas znaczenie mieć będzie niepojęty dla nas, nowy, dalszy postęp. Nie zmyślcie w tym względzie ciekawości, której rzeczywiście nie macie bo żaręczam że to ani was, ani mnie, ani, zdaje mi się, nikogo wcale nie obchodzi. Zatem postęp, w właściwym znaczeniu tego wyrazu, wiedza, szczęście, jak i wszystko co ma być rzeczywiste a nie urojony, ma i musi mieć swój cel i dążność swoje.

— Proszę na herbatę! odezwał się głos wchodzącej gospodyni. Dziękuję panom, iż tak gorliwie staraliście się bawić damy, że aż poziewają. Resztę gości zaledwie zebrać mogę, tak się gdzieś rozpięchli. O czem-że to tak zawzięcie rozprawiacie?

— O postępie, rzekłem.

— To wcale nie dowodzi postępu. Zamawiam panów z kolei do mazura.

Po chwili sam tylko w pokoju zostałem; chciałem myśleć i rozbiierać, który z tych panów miał największą słusność? Po szczególe, zdawało mi się że każdy, ale nie wiem czemu to przypisać, dla jednego tylko pana Zygmunta szczerą powziąłem sympatyę. Staralem się bliżej ich poznać i... nabrałem przekonania: że pan Zygmunt był człowiekiem *czynu*, a tamci *teorii*.

Konstanty Milewski.

## KOMUNIKACYE, PRZEMYSŁ I HANDEL.

Ekonomiczna i przemysłowa literatura nasza wzbogaconą została kilkoma ważnymi pracami, w rzędzie których ostatnie broszury p. Piotra Zaleskiego na pilną uwagę zasługują; jedna bowiem dotyka zadań handlu zbożowego, druga zasad spółek handlowych i przemysłowych, jakie coraz liczniej w kraju naszym się zawiązują. Ta ostatnia praca (\*) przypadła w sam czas i niejednego dźwięnie z chaosu, w jaki wprawiły nas artykuły i korespondencje, nieoparte częstokroć na żadnej gruntowniejszej znajomości rzeczy i zasadach naukowych. Należy nam bowiem wyznać otwarcie, iż pomimo dość ożywionych od niejakiego czasu rozpraw nad kwestyami ekonomicznymi, mianowicie dotyczącymi spółek handlowych i przemysłowych, znajomość zasad i praw ich tworzenia mało jest upowszechnioną w masie społeczeństwa.

W broszurze swojej p. Zaleski nie powiedział nam nic nowego, ale to co mówi odznacza się jasnością i przystępnością, rozebrane jest gruntownie, sumiennie i poparte paragrafami prawa cywilnego i handlowego. Autor rozpoczyna wykład od wykazania dzisiejszego zwrotu do kwestyi ekonomiczno-politycznych i mimochodem potrąca o sprawę materializmu, który w dziennikarstwie naszym przed laty kilkukrotnie zabawną od-

grywał rolę. Ustęp ten, najsłabszy w pracy pana Zaleskiego, uważamy nawet za zbyt czysty, a w każdym razie za mało wyczerpujący, w stosunku do ważności przedmiotu.

To co p. Zaleski powiedział, mieliśmy ogłoszone dawno i nikt się już spierać nie myśli w tym względzie; dziś bowiem przestano używać widma materializmu w rodzaju retorycznej figury, straszącej świat ducha i uczuć, a długie kazania i mdłe tyrady nie znajdują już chętnych słuchaczy i czytelników. Jeżeli zaś gdzie jaki maroder się zabłąka, to i on swe pojęcia stara się modyfikować zgodnie z duchem czasu. Teraz więc nie idzie nam już tyle o rozprawę, ile o zmienienną myśl i pojęć w żywe czyny, dokonane umiejętnie. Ekonomisci mają utworzoną drogę i zjednaną zwolenników dla nauki, nauczać się im też godzi ogół. Dlatego tak wysoko cenimy drugą część pracy p. Zaleskiego, gdzie przebiega on, od definicyi do skutków, wszystkie trzy rodzaje spółek: zbiorową, komandytową i bezimienną. Zgadamy się najzupełniej z autorem co do siły i odpowiedzialności dla nas formy spółek komandytowych, chociaż spółki zbiorowe, w drobniejszym rozmiarze i zakresie, oddać mogą bardzo ważne usługi krajowemu rolnictwu i przemysłowi. Stowarzyszenie kilku obywateli z ludźmi uposażonymi w inteligencją techniczną, w celu prowadzenia jakiej fabryki, pomyślnie oddziaływać może i za trudnił mnóstwo rąk dziś postojących bez pracy. W tym względzie najpożądanejszym będzie podniesienie się ogólnej wiary i tego wewnętrznego przekonania, iż mieniem człowieka jest położone w nim zaufanie. Bez tego spółka jakiegokolwiek rodzaju, choćby ją najlepsze ochraniało prawo, nie będzie miała spójni, bo tylko wzajemna ufność i wspólny interes zapewnić może stowarzyszeniu jedność, jednostajność i siłę działania. Bardzo trafną więc zdaje nam się uwaga p. Zaleskiego, iż spółki nasze nie powinny zapominać o swym charakterze handlowym i że ustawy ich winny łączyć spółników firmowych i komandytaryuszów węzłem interesu, którą to okoliczność w statutach kilku domów zleceń pominięto. Naczelnicy ich nie są dostatecznie wynagrodzeni materialnie, a jakkolwiek dziś spełniają oni z godną pochwałą bezinteresownością swój obowiązek, to przecież staraniem samej spółki powinno być dążenie do tego, aby węzeł jedności nie przysł wtemczas, gdy chęci się zmienia, lub okoliczności zmuszą do cofnięcia ofiary.

Pan Zaleski popiera się wszędzie dobranymi przykładami, w których znów rozwija pewne myśli, pewne projekta kraj obchodzące. Tym sposobem, prócz wstępu, żadne tam słowo nie jest straconym, żadne próżną i czężą gadaniną, której wszędzie zanadto już mamy.

Cenimy też niemało przyrzeczenie autora dalszego rozwijania tej kwestyi: dziś dał nam on alfabet spółek, spodziewamy się że w przyszłości czytać nas nauczy.

Budząca przed niejakim czasem tyle wrzawy i sporów kwestya młyna parowego, ucichła, a sam przedmiot nie został dostatecznie wyjaśnionym, lubo spodziewać się tego i pragnąć należało; dyskusya bowiem w tym względzie dotknęłaby zagadnienia o młynarstwie w kraju naszym i o jego przyszłości, w stosunku do produkcji maki na handel zagraniczny.

Nie ulega zaprzeczeniu, iż korzyści ekonomiczne dla kraju z wyprowadzania za granicę płodów przerobionych, są daleko znaczniejsze niż z wyprowadzania surowych, rozumie się, jeżeli warunki sprzyjają przeróbce na miejscu. Z rozwinięciem się coraz większym naszego przemysłu opartego na płodach rolniczych, handel szukać musi naturalnie nowych dróg odbytu, i wtedy przychodzi mu często rozwiązywać kwestye, które dotychczas nie zwracały niczyjej uwagi. Do rzędu takich pytań, pewnej dla nas ważności, należy właśnie niedawno poruszone przez jednego ze specjalistów, z handlem zbożowym Zachodu obeznanych, dotyczące wyprowadzania za granicę nie zboża surowego, ale przynajmniej w pewnej części przetworzonej z niego maki. Dotychczas wywóz nasz za granicę produktu jest prawie nieznaczący, wynosi bowiem pół procentu wyprowadzanej pszenicy, czyli dosięga 3400 czetwerti, (w czem 549 czet. krup wszelkiego rodzaju) gdy pszenicy w ziarnie wywozi się do 800,000 czet. Tymczasem targi angielskie, stanowiące główny punkt zbytu na płody zbożowe, w coraz znaczniejszych ilościach zaopatrywane są mąką zagraniczną, w czem Francja i Ameryka najglówniejszy przyjmują udział. Liczbami statystycznymi moglibyśmy wykazać, iż wprowadzanie maki z Francji na targi angielskie, postępuje w daleko szybszym stosunku, niż ziarna, i pierwsza względem drugiej ma się jak 2,5 do jednego. Nader więc naturalne rodzi się pytanie, czy mąka nasza gatunkiem i ceną nie mogłaby

(\*) O spółkach handlowych i przemysłowych, ich zasady, forma i organizacja, ich wpływ, siła i użyteczność. Przez Piotra Falkenhagen-Zaleskiego.

wystąpić do konkurencji na placach angielskich z mąką francuską i amerykańską.

Znacznych korzyści jakieby kraj nasz osiągnął z procentów od włożonej pracy na przetworzenie ziarna w mąkę; dalej z pozostałych odpadków, które w części posłużyłyby do zwrotu pożywnych części gruntem, dziś tak gwałtownie wyniszczanym; przez rozwój kultury i spożytkowanie tak pracy rąk, jak i pewnych materiałów pobocznych, obficie w kraju znajdujących się, a dziś bezpożytecznie spoczywających: dowodzić zdaje się nie potrzebujemy, każdy je bowiem na pierwszy rzut oka oceni. Rozwiązanie jednak tego zadania da się osiągnąć tylko na drodze praktycznej; życzyliby więc należało aby który z nowopowstałych domów zleceń zajął się przesłaniem próbek na targi angielskie i wyrobieniem tam odbytu mące polskiej, jeżeli tylko porównawcze cyfry cen korzyść na stronę dowozu jej wykażą.

Ze mąka nasza mogłaby znaleźć odpowiedni odbyt nie tylko na placach angielskich lub holenderskich, ale i na bliższych, n. p. wrocławskim lub berlińskim, czerpiemy dowód w tym, iż pewna część ziarna odstawionego z Włocławka do Bydgoszczy, w parowych młynach tego ostatniego miasta przerabianą bywa na mąkę i odstawianą w tym przetworzonym stanie do Berlina. Czyż więc, przy obfitości węgla i drzewa, przy taniości robotnika, po strąceniu kosztów przewozu, stosunkowo znaczniejszych dla ziarna jak dla mąki, czyż więc, pytamy się, nie moglibyśmy skutecznie konkurować n. p. z młynami bydgoskimi, przerabiającymi nasz produkt surowy i ciążącymi ztąd zyski dość znaczne? Zdaje nam się, że konkurencja naszej mąki znajduje się w korzystniejszych jeszcze warunkach względem mąki amerykańskiej i pod pewnym względem francuskiej. Lecz na to potrzeba, jak powiedzieliśmy, praktycznego wystąpienia i wytrwałości w przeprowadzeniu tej myśli, która zamieniona w czyn, przynieść może bardzo znaczne dla kraju naszego korzyści materialne.

Ze obowiązkiem wykonania próby kładziemy na domy zleceń, łatwo każdy usprawiedliwi, kto zna jaki u nas, nawet w najdrobniejszych, niewątpliwe korzyści obiecujących przedsięwzięciach, panuje brak odwagi i przedsiębiorczego ducha. Świeży tego przykład przedstawia nam list z Chęciny o tamtejszych marmurach, z którego pozwalamy sobie przytoczyć wyjątek: „Nie dziwcie się, mówi nasz korespondent, iż jako lubownika marmurów, pierwszą moją myślą po przybyciu do Chęciny był zamiar zwidzenia tamtejszych zakładów wyrobów marmurowych, nie mówię pracowni lub innych miejsc, gdzie sztuka objęta sobie siedliska, uprzedzony bowiem byłem, że nie znajdę tu niczego, coby z muzami miało związek. Szukałem więc zakładów, któreby kraj zaopatrywały w najprostsze wyroby: w posadzki, stoliki, obeliski, wazy i t. p. drobniejsze przedmioty powszechnego użytku. Z takimi tedy, jak widziecie skromnymi, żadaniami stanąłem na chęcińskim rynku i powiodłem ciekawym wzrokiem, nie ujrząc-li choć śladów, któreby zwiastały bogactwa w łonie ziemi ukryte. Ale ubogie, po większej części drewniane, z wykrzywionymi dachami, jakby sztydersko uśmiechnięte chałupy, stały spokojnie rzędem, otaczając plac, który się rynkiem tytułuje. Owe tablice nawet ze złoceniem napisami, mające świadczyć o zamieszkanu artystów-kamieniarzy, także gdzieś pozniwały... i marmuru w marmurowym mieście nie było ani śladu. Z pomocą więc jedynie miejscowego faktora należało odszukiwać po Chęcinach zakładów kamieniarskich, których liczba pięciu pojedynczych rzemieślników nie przenosi. Smutne uniósłem z tej przechadzki wrażenia, nie dlatego abym się zgorszył bałwanowatemi kształtami wyrobów, niezgrabnym ich oszlifowaniem, grubością i brakiem smaku w robocie, lecz dlatego, że nabrałem przekonania, ileby to pięknych rzeczy wyciosać można z tych marmurów białych, ale nie bez pewnego wdzięku, dziś skutkiem uprzedzenia i gnuśności, zaniedbanych, marnujących się w rękach ludzi nieukształconych. Lecz może być inaczej? Ci robotnicy, zostawieni sami sobie, bez wzorów, bez wskazówek, trudno by doszli do prostej nawet zręczności nie kunsztmistrzów, ale rzemieślników. Praktyka tradycyjnie przechodząca z ojca na syna, oto przewodnik, oto cała szkoła tych robotników.

W jednym tutejszym większym zakładzie, co latem kilku, a przy zamówieniach kilkunastu zatrudniają robotników, oglądaliśmy posadzki, kilka tablic nagrobkowych, parę kolumn z wazonami (dość tanich) i mnóstwo innych drobnych przedmiotów, w które zaopatrują się rzadko przez Chęciny przejeżdżający podróżni. Lecz drobne te przedmioty, któremi handel mógłby być nader korzystny, są stosunkowo bardzo drogie; za przycisk bowiem w tutejszym jednym skła-

dzie marmurów (mówiąc nawiasem, sprzedaje się tam pieprz, wódka, śledzie i t. d.), nie wstydzą się zaciąć dwa, trzy i cztery ruble, choć wartość jego rzeczywista i dwóch złotych nie przenosi.

Oto jest wierny obraz dzisiejszego chęcińskiego przemysłu; sądźmy jednak iż główną tamą jego rozwoju, w pożytkowym mianowicie kierunku, jest brak składu tych rzeczy w Warszawie. Publiczność bowiem nasza możeby i kupowała, gdyby powszechnie wiadomo było gdzie drobiazgów marmurowych z Chęciny za niewielkie pieniądze dostać można. Bez dopełnienia tego warunku ani myśleć o rozwoju przemysłu na miejscu, a bez rozwoju nie będziemy mieli udoskonalenia wyrobów. Potrzeba koniecznie aby ktoś z postronnych spekulatorów drobny, kilkotyśięczny kapitał zarzykował, bo chęcińscy mieszkańcy zbyt są ubodzy, aby się na podobne przedsięwzięcia puszczać mogli. Byłaby w tym i korzyść osobista, i przysługa odana okolicy.

Pod względem produkcji wyrobów z marmuru, Chęciny miały już lepsze czasy, i wtedy wróżyć im można było pomyślniejszą jeszcze przyszłość. W roku 1820, z inicjatywy hr. Tadeusza Mostowskiego, ówczesna dyrekcyja górnicza wzięła się na seryo do urządzenia marmurołomów chęcińskich, i wnet stanęły piłarnie, warstwy, sprowadzono modele, wzory, rysowników, kamieniarzy i życie zakipiło. Ale kraj mało miał czasu do myślenia o tych rzeczach: zakład przyjął chłodno, ceny wydawały się za wysokie... górnicstwo na fabryce znacznie traciło; puszczono ją przeto w dzierżawę, ale i dzierżawca nie lepiej jakoś umiał sobie dać radę. Szło wszystko kulawo, i dotrwałszy do 1833 r., upadło, a fabryka zamknięta została. Odtąd nie próbowano już szczęścia, choć nie można wątpić że teraz pomyślniejszy ten interes poszedł. Żałować nawet należy, że zrazo się tak łatwo pierwszymi niepowodzeniami, przykłady bowiem uczy, iż u nas, po przetrwaniu niepomyślnych początków, przedsięwzięcia przemysłowe rozwijają się nie raz bardzo dobrze. Dowodem nasze fabryki fajansu i porcelany, których wyroby znajdują się w powszechnym użytku i pomyślnie konkurują z zagranicznymi, kiedy jeszcze ćwierć wieku temu płody tych ostatnich wyłącznie ukazywały się w handlu.

Pożyteczną tę gałąź przemysłu winniśmy Staszicowi, i gdyby przez niego sprowadzeni do Łży fabrykanci angielscy zrazili się byli pierwszymi chwilami niepowodzenia, dziś na nowo kroki po tej drodze stawiaćby przychodziło, kiedy przeciwnie teraz fabryki rzeczono zaledwie żadaniami nastarczyć mogą. Dziś, nawet w wyrobach tego rodzaju pośledniejszego gatunku, dostrzedz można postęp; widzimy to n. p. na gatunkach z fabryki osieckiej Aurelego Borzęckiego, która niedawno, bo przed kilką latami założona, dziś pomyślnie się rozwija i urzęduje. Garnki te, wypalane w mocniejszym ogniu, z dobrą glazurą wewnętrzną, są daleko dogodniejsze i trwalsze od innych tego rodzaju wyrobów, a wyższy ich koszt w użytku sownie się opłaca. Przytęm glazura ich jest czysto krzemienista, a zatem zdrowsza od zwykłej garncarskiej, miękkiej, bo z solami mineralnymi urobionej. Podobny zakład wyrobu garnków powstał w ostatnich czasach w Miedzianej-górze, przez pp. Sunderland, właścicieli fabryki fajansu w Łży, nowo założony.

Toż samo możemy powiedzieć o naszej fabrykacji sérow, których znaczne ilości sprowadzaliśmy z zagranicy, dopóki nie mieliśmy własnych, ulepszonym sposobem wyrabianych. Obecnie, przy zwiększającej się zamożności wszystkich klas społeczeństwa, spożycie krajowego séra na sposób szwajcarski lub holenderski wyrabianego, rozszerza się bardzo znacznie i fabrykacja jego dobre ma przed sobą widoki.

Spółki także do przerobów mlecznych, w różnych okolicach kraju organizowane, mogą niemałą przynieść korzyści nie tylko gospodarzom rolnym, ale i ogółowi. Pierwszy przykład tego rodzaju zbiorowych przedsięwzięć (tak upowszechnionych w Szwajcaryi, Holandyi, a nawet i na Żuławach), spółka mleczna projektowana przez p. Sygietyńskiego w Łowickiem, choć częściowo przyszła do skutku. Zanim jednakże podług pierwotnego planu na obszerniejszą rozwinęta zostanie skala, pp. Rossman z Piotrowic i hr. Grabowski z Mrogi, wyrabiać mają séry na sposób szwajcarski. Obory obu tych przedsiębiorców są liczne i w dobre rassy zaopatrzone, wyrób sérow odbywać się będzie na dość znaczną skalę, a nie wątpimy iż przykładem zachęcenia sąsiedzi, skwapliwie swe usiłowania z nimi połączą. Świadectwa kompetentnych w tym względzie sędziów, zebrane jako owoc długoletniej praktyki, przemawiają za tym rodzajem spieniężania produktów nabiałowych, mianowicie w okolicach oddalonych od większych miast, w których sprzedaż mleka i śmietanki dostatecznie zapewnia korzyści.

W tym ostatnim atoli wypadku należałoby naśladować urządzenie w Łomży, gdzie założony sklep oddzielny z mleczywem, zaopatrywany nabiałem z pobliskich dóbr Drożdżewo-górne, zadość czyni wszelkim wymaganiom mieszkańców. Warszawie mianowicie podobnych zakładów, na wielką rozwiniętych skalę, życzyliby należało, taka bowiem konkurencja oswo-bodziłaby nas od złego i fałszowanego mleczywa, mianowicie gdyby nadzór nad materiałami pożywienia lepiej był uorganizowany.

## WALKA PO CIEMKU.

(BAJKA.)

Gwałtu, gwałtu, ratujcie, rabuś mię zabija!

Woła Jacek zaspany i rwie się do kija.

Jana, co w łóżku chrapał, Bóg wie za co ćwicz.

Zrywa się ze snu zbity i o pomoc krzyczy.

A że ciemno w komorze, wałą się pomacku:

Jacek okłada Jana, Jan się mści na Jacku;

A krzycząc na złodziei, biją się w ciemności,

Tak że mało co sobie nie połamią kości.

Nadbiegł sąsiad z latarką: tylko zaświeciło,

Zdziwili się obadwa że zbrojców nie było.

W takić to walce, w swarze obłąkanych krzyków,

Widzimy nieraz zdrajców, podłych nikczemników.

To ciemnota!... Jak światła zabłysną pochodnie,

Błędy tam zobaczymy, gdzie widzimy zbrodnie.



Laskawych naszych czytelników z przedmieścia Pragi zawiadamiamy, że dla ułatwienia im odbierania Tygodnika, przyjmować będzie zapisy i doręczać to pismo p. Bilski przy ulicy Szerokiej, w domu p. Charkowskiego, wprost fabryki cylindrów.

Od mieszkańców Zwierzynca w dobrach ordynacyi Zamojskiej, przez pośrednictwo Edwarda Tok... otrzymaliśmy rs. 19, jako składkę do funduszu zbieranego na wsparcie rodzin po poległych w Warszawie w dniu 27 lutego, oraz rs. 1 dla wręczenia redakcyi Kuryera Warszawskiego, z odpowiedniemi ogłoszeniami. Obie te kwoty odesłane zostały według przeznaczenia.

Panu Adolfowi w gubernii kijowskiej. Rzecz o bałagulach czy baragulach przestarzała, a nie sądzimy żeby przypomnienie jej w chwili obecnej było na czasie.

Do szan. autora wiersza p. t. *Taniec narodowy*. Mimo próśby pismienne wyrażonej, ażeby pana nie posadzać „o żadne rozstrojenie umysłu“, radzi nieradzi uczynić to musimy, mając przed oczami natchniony płód jego muzy.

Panu L. w Warszawie. Odezwię Kurpia do Kujawiaka nie zbywa na zaletach treści; więcej z niej myśl sympatyczna i pocziwa. Szkoda tylko że zupełne zaniedbanie formy zubożętnia te zalety i wydrukowanie jej czyni niemożliwym.

Panu J. N. w Warszawie. Nadesłane zadanie konikowe drukowaniem nie będzie.

Panu Michałowi z Inflant. Zadanie w Nrze 68 Tygodnika otrzymaliśmy od znanego nam osobieście szachisty warszawskiego; w wydrukowaniu jego tylko zaszła pomyłka, że królową zamiast na D 2, postawiono na D 3. Jakiemu trafowi przypisać należy zejście się tego zadania z ułożeniem przez pana, a ogłoszonym w Nrze 56 naszego pisma, rozstrzygnąć nie możemy i nie chcemy; w każdym jednak razie uważamy to za rzecz małej bardzo wagi. Nie widzimy w tym plagiatu, jeżeli ktoś, napotkawszy w jakimkolwiek piśmie szachowem dobrą końcówkę, podaje ją do druku z pewnemi zmianami, lub nawet bez takowych. Prosilibyśmy tylko o wskazywanie w takim, razie źródła, gdyż redakcyja, w nawale innych zatrudnień, żadną miarą za podobne usterki odpowiadać nie może; potrzebaby na to osobnego chyba redaktora szachów, któryby prowadził dokładną kontrolę zadań już drukiem ogłoszonych. Numer 9 Tygodnika przesłany już został poprzecznie pod adresem Michała z Inflant, a dziś wysyłamy go powtórnie pod tymże adresem, *poste restante*.

# DONIESIENIA.

W KSIĘGARNI

## G. GEBETHNERA I R. WOLFFA w Warszawie

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 415, złożone zostały na skład główny następujące dzieła: Sporny J., Hydraulika Agromiczna, czyli nauka o użytkowaniu i urządzaniu wód w gospodarstwach rolnych, a mianowicie przy osuszaniu, drenowaniu i nawodnianiu gruntów z dołączeniem wiadomości dotyczących się torfów. Tomy 2 i Atlas. Cena złp. 40.— Kolberg W., Wisła, jej bieg, własności i słowność. Część II i Atlas. Cena złp. 13 gr.—O związku moralności z ekonomią polityczną, podług wykładu H. Baudrillarda, napisał Jan Niemirodski. Cena złp. 6.—Iwanki, powieść Leona Kunickiego. Cena złp. 4.

W tejże księgarni złożona została mała liczba egzemplarzy następujących dzieł Henryka Marconiego, traktujących o budownictwie: O porządkach architektonicznych, in 4o, str. 46 i tablice, złp. 40.—Zbiór projektów architektonicznych, in folio, zeszytów 12 czyli tablic 96. Cena złp. 166 gr. 20.

Taże księgarnia ma honor zawiadomić szanowną publiczność jako też księgarzy krajowych i zagranicznych, iż nabyła na własność następujące dzieła: Haffer, Kultura łak; cena złp. 13 gr. 10.—Kohn, Rośliny pastewne; cena złp. 6 gr. 20.—Maciejowski J., O plantacji buraków; cena złp. 4 gr. 20.—Mieczynski, Gospodarstwo mleczne; cena złp. 8.—Jourdiere, Katedryz rolnictwa; cena złp. 10.

W tej księgarni wyszły z druku: Hünter Fr. Szkoła na fortepian, drugie wydanie, pomnożone ćwiczeniami znakomitych autorów; cena złp. 20.—Freyer A., organista i nauczyciel gry organowej przy instytucie muzycznym w Warszawie, praktyczna szkoła na organy, łącznie z ćwiczeniami przygotowawczymi na fortepian i fisharmonikę, ze szczególną uwagą na grę pedałow obligato; cena złp. 15.

Nakładem Towarzystwa Rolniczego w królestwie Polskiem, wyszło w tych dniach dzieło pod tytułem: Obraz gospodarstwa wiejskiego w Anglii, Szkocji i Irlandii, przez Leoncysusa de Lavergne tłumaczone z francuskiego, z polecenia Komitetu Towarzystwa Rolniczego w królestwie; cena złp. 6. Skład główny w ekspedycji głównej Roczników Gospodarstwa Krajowego, w powyższej księgarni.

**Świat literatury, historii, nauk ekonomicznych, podróży i powieści,** zeszyt drugi tomu pierwszego, opośił prasę i zawiera: Murzyni w Stanach Zjednoczonych. Pierwszy rozdział książki popularnej dla włościan, Literatura kolondowa, Sierota (powieść). Rozdział drugi etc. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i R. Wolffa.

**Modlitwa Stradelli** z XVIIgo wieku, śpiewana przez I. Dobrskiego w kościele OO. Reformatorów w dniu uroczystego nabożeństwa, wyszła nakładem księgarni i składu nut muzycznych G. Gebethnera i R. Wolffa, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, nr 415, pałac hr. St. Potockiego, cena złp. 3.

KSIĘGARNIA

## HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu JW. Hr. Stanisława Potockiego Nr. 17,

wyszły Modlitwy dla Polek wyznania Mojżeszowego ułożone przez Rozalję z Felixów M. S. Warszawa 1861, cena kop. 75. oprawne w szagriny i złoczone brzegi rs. 1. kop. 65.—Taże księgarnia otrzymała na skład główny: Kwestye językowe przez Glossofila. Warszawa 1861 cena kop. 60. Zeszyt 10ty i ostatni czyli opis układu rzeczoności i przyrządów zmysłowych człowieka z uwagami fizyologicznymi; cena tego tomu rs. 4. Szanowni prenumeratorowie raczą się zgłosić po odbiór zaległych zeszytów gdzie przedpłatę złożyli, gdyż po zkompletowaniu dzieła osobne zeszyty sprzedawane nie będą.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

## ALEKSANDRA LEWIŃSKIEGO

przy ulicy Miodowej pod filarami, wyszła niedawno dziełko pod tytułem: **Garibaldi, jego życie i czyny**, przez Alfreda Delvau, przekład z francuskiego, cena złp. 4, (kop. 60). Nabyć można we wszystkich znanych księgarniach.

Księgarnia

## HURTIGA

w Kaliszu.

Otrzymała następujące nowe dzieła: **Humboldta** Podróże po Afryce, Ameryce, Rosji Europejskiej i Azjatyckiej, tomów 4.—Zdano-wicza Historję powszechną dla młodzieży szkolnej, ułożoną, tomów 2.—**Garibaldi**, jego życie i czyny, przez Alfreda Delvau.—**Bartoszewicza** Historja literatury polskiej.—**Jarmunda** o budowie dróg i mostów, tom 1 z 24 tablicami.—**Milkowskiego** opis Królestwa Polskiego pod względem geografii, statystyki i historii. **Podróż do Skandynawii** odbyta w r. 1855 i wiele innych dzieł, które sprzedaje po tychże cenach co i w Warszawie.

## Wizerunki i życiorysy znakomitości tegoczesnych, zebrane z najnowszych źródeł.

Pod powyższym tytułem zamierza **Księgarnia Polska** przy ulicy Miodowej Nr. 482 (nowy 4), wydawać Galeryę wizerunków rozmaitych osób, które się stały głośnie w najnowszych czasach, czy to jako politycy, lub wojownicy, czy też w dziedzinie nauk, umiejętności lub t. p.

Jakkolwiek w tej Galeryi znakomitości tegoczesnych, wszystkie narodowości znajdują swoje pomieszczenie, wyłączamy z niej przecież naszych rodaków, bo księgarnia nasza specjalnie zajmując się wydawnictwem rzeczy polskich, już rozpoczęła publikację systematyczne i obszerniejsze rozmiarów znakomitości narodowych; jako to: Galeryę Królów polskich, Arcybiskupów i Hetmanów; skoro te ukończonemi będą nowe publikacje podobnego rodzaju, wyłącznie narodowe, rozpoczętemi zostaną, jeżeli publiczność Polska, że chce wspierać usiłowania nasze w tym kierunku.

Co do obecnej Galeryi znakomitości zagranicznych. rozpoczęliśmy takową życiorysem i wizerunkiem Napoleona IIIgo, Cesarza Francuzów. Portret ten, jest kopją fotografii przysłanej nam z Paryża. Życiorys nieobszerny jest wprawdzie, ale z najnowszych zebrany źródeł.

### Warunki prenumeraty.

Prenumerata ogłasza się na 20 numerów czyli zeszytów, z których każdy obejmować będzie jeden portret i życiorys. Cena dla prenumeratorów z góry placących oznacza się na rs. 3 (złp. 20), za wszystkie 20 zeszytów. Cena każdego zeszytu pojedynczo, oznacza się sto-

sownie do objętości. Numer 1 obejmujący portret i życiorys Cesarza Napoleona III, kosztuje kop. 50 (złp. 3 gr. 10).

A. Dzwonkowski i spółka.

Zakład Artystyczno-Litograficzny

## ADAMA DZWONKOWSKIEGO i spółki.

ulica Miodowa nr 482(4) egzystujący,

nabył niedawno na własność,

## GALERJĘ KRÓLÓW POLSKICH

przez ś. p. profesora Jana Feliksa Piwarskiego rozpoczętą i takową według rysunków po nim pozostałych ukończyć zamysła. Warunki prenumeraty pozostaną też same to jest: że Galeryja w zupełnym komplecie kosztować będzie w Warszawie rs. 25, które uiszczyć można w następujący sposób: przy odbieraniu 1go oddziału w okładzie płaci się rs. 10, z odbiorem 2go rs. 10, przy 3im rs. 5. Czwarty zaś bez opłaty prenumeratorom doręczony zostanie. Wydawnictwo Galeryi znacznie jest posunięte albowiem 7m portretów jest już odbitych, 6śc zaś na kamieniu przez ś. p. Piwarskiego wykonanych są do druku gotowe; pozostałe zaś rysunki przez ś. p. profesora wykonane, są w naszym posiadaniu i kopjowanie ich na kamieniu rozpoczęte. Przesyłający pod naszym adresem rs. 25 franco, otrzyma bezpłatnie życiorysy Królów Polskich, też same, które do Wizerunków przez A. Lessera wydanych, dołączonemi są. Każdy egzemplarz tego obszernego tekstu ozdobiony jest kartą tytułową chromolitografowaną, przedstawiającą herby wszystkich ziem dawniej do Polski należących.

A. Dzwonkowski i spółka

W zakładzie Artystyczno-Litograficznym

## MAXYMILJANA FAJANSA.

przy ulicy Długiej nr 550, opuściło już prasę Album p. t. Siedm Sakramentów kompozycji i rysunku P. Adryana Głabockiego, z tekstem P. M. Sawickiego, i jest do nabycia we wszystkich księgarniach tutejszych i na prowincji; cena kop. 10.

**Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych**, z powodu wątpliwości objawionej co do tłumaczenia artykułu 13go ustawy, ogłasza ponownie, iż artykuł rzeczony wcale nie może obowiązywać osoby do Towarzystwa po dniu 1 lutego r. b. przystępujące. Nadto oświadczają, iż w roku bieżącym wszyscy Członkowie Towarzystwa, którzy opłatę przed dniem 1 grudnia, jako terminem prokluzyjnym wniosą, używać będą wszelkich praw ustawą wskazanych.

NOWY CENNIK

## Przyrządów Fotograficznych,

oraz potrzebnych do fotografii narzędzi wyszedł z druku i udziela się bezpłatnie żądającym za zgłoszeniem się franco.

**Edmund Gabory** optyk. Hamburg, Adolphsplatz, nr 3, neben der Bank.

## DOKTÓR AKUSZERYI

przyjmuje osoby życzące sobie odbyć słabość w instytucie na ten cel urządzonym. Tajemnica ścisła na żądanie będzie zachowana, zgłaszać się należy franco pod adresem.

M. M. 49 post restante Berlin.

## B. MOORE'GO.

Maszyny mojej konstrukcyi zastosowane być mogą w każdej rękodzielni, jako i w domowym gospodarstwie, są najprostsze, sumiennie wykonane, najtańsze. Maszyny moje są tak w armii Austrjackiej, Rosyjskiej jak i Pruskiej zaprowadzone, o użyteczności których nader pochlebne świadectwa posiadamy. Cenniki z rysunkami tychże maszyn, oraz próby wszelkich rodzajów szwów, w najodleglejsze strony nawet, franco posyłam.

B. Moore z Nowego Yorku.

Założyciel handlu maszyn do szycia w Europie, w Berlinie französische str. Nr 33.

## DRZEWA OWOCOWE

### WYSOKO-PIENNE.

Najszlachetniejsze gatunki jabłoni sztuka

|                 |           |    |    |    |
|-----------------|-----------|----|----|----|
| Gruski          | sztuka 11 | "  | "  | 20 |
| Wiśnie słodkie  | "         | 11 | "  | 20 |
| Śliwki          | "         | 11 | "  | 20 |
| — węgierki duże | 5         | "  | 10 | "  |

Pomienione drzewka owocowe przesyłane będą w dość dużych, wysokopiennych, uszlachetnionych egzemplarzach, odznaczających się piękną koroną, i jestem przekonany, że z prawdziwym zadowoleniem przyjęte będą. Spis wyborowych nasion i drzewek przesyłam za zgłoszeniem się (franco) bezpłatnie.

Zapewniając jak najszybszą usługę, poczytam sobie za obowiązek, jak najrzetelniej zadosyćucznić powierzonym mi obstarunkom.

J. G. Hübnér

ogrodnik w Bunzlau na Szląsku

## SKŁAD HERBATY

## WSIEWOŁODA ISTOMINA.

### ZA WIADOMIENIE.



Przy coraz więcej upowszechniającem się używaniu w kraju tutejszym herbaty, której odbyt ze składu mojego powiększa się z każdym rokiem, zamierzam skutecznie w czasie bieżącego lata wycieczkę do tych miejsc, gdzie mieszkają główni pośrednicy hurtownego handlu herbaty, i od nich zakupić herbatę Fuczańską, z ostatniej wymiany. Tu winienem napomknąć, że sprowadza się także z prowincji Szan-gajskich herbata kwiecista, drogą morską do portu St. Petersburgskiego, wymieniania przez Kompanię Amerykańską. Chociaż pozorem swoim ta herbata nęci kupującego, ale co do smaku znacznie jest niższą, od gatunków czarnych Fuczańskich.

Nazwiska gatunkowe herbaty znane są tylko handlującym z Kiachtą; ogłaszane zaś w cennikach innych kupców nazwy gatunków zupełnie są dowolne. Wartość herbaty zależy od miejscowości i urodzaju. Niniejszy mój cennik ułożyłem jedynie na zasadzie rozgatkowania dopełnionego w Kiachcie, z pomiędzy uznanych za najlepsze gatunków herbaty, przy ostatniej wymianie.

### CENNIK HERBATY FUCZAŃSKIEJ

sprowadzaną lądem przez Rosyją i przedawaną podług cen stałych w Magazynie Poczestnego Obywatela W. M. ISTOMINA, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, w domu przechodnim Rezlera pod Nr 451, w Warszawie.

| HERBATA CZARNA.                       |         |      |           |
|---------------------------------------|---------|------|-----------|
| San-sinka-Tian-czeju                  | za funt | Rsr. | 1 kop. 50 |
| Familijna-Sin-tun-taj                 | —       | —    | 80        |
| Chumy Myjutan Tasiniuj i inne gatunki | —       | 2    | —         |
| Chumy czerwony Kofyn-ju-an            | —       | 2    | 25        |
| Chumy błękitny Scho-dzun              | —       | 2    | —         |
| (dla amatorów)                        | —       | 2    | 50        |

| HERBATA KWIECISTA.              |         |      |          |
|---------------------------------|---------|------|----------|
| Ju-taj-czo i inne rodzaje       | za funt | Rsr. | 3 kop. — |
| Szy-lucha                       | —       | 3    | 60       |
| Cha-szen-czu-an bukiet          | —       | 4    | —        |
| Liansin Wan-sun-czo             | —       | 5    | —        |
| Liansin Sin-fa-jun, aromatyczny | —       | 6    | —        |

HERBATA ZIELONA.

Funt jeden od 6ciu do 10ciu rub. sr.

HERBATA ŻÓŁTA.

Funt jeden od 6ciu do 15tu rub. sr.

Osoby życzące mieć sobie dostarczoną herbatę z mojego magazynu przez pocztę, nie za przesyłkę nie płacą, lecz opłacając za przesłanie pieniędzy, tak w Królestwie jak i w Cesarstwie. — Nie obiecuję, jak inni handlujący herbatą, odstępować procent i dodawać rabaty, ale natomiast przedawać będę towar sumiennie za dobroć gatunku zaręczam. — Dla osób zamieszkających na prowincji starannie będę wysyłać herbatę przez pierwszą odchodzącą pocztę, upakowawszy w mocne skrzynki, dla zabezpieczenia od uszkodzenia w drodze. — Dla kupujących całemi cybkami, herbata dostarczona będzie zupełnie w takim samym stanie, w jakim odebrana została z Chin. — Osobom zamieszkającym na prowincji, herbatę na Rsr. 1 kop. 50 i na Rsr. 1 kop. 80, magazyn nie odsyła franco, lecz na koszt wypisującego. Uprasza się o wyraźne wypisywanie swego adresu i miejsca pobytu. — Herbata wydaje się z mojego magazynu w paczkach jedno-funtowych, pół-funtowych i ćwierć-funtowych, opatrzonych stemplem wyciśniętym na ołowiu, a cena i waga herbaty wydrukowana jest na samej paczce.

Poczestny obywatel **Wsiewołod syn Maksyma Istomina.**

**Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.**

W drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 17 (29 marca) 1861 r. — Cenzor, Roman Kozicki.

Redakcyja przy ulicy Krakowskie Przedmieście w domu PP. Wizytek Nr. 391.